Katolickie Towarzystwo
Bnin
Robotników Polskich

[Sedlaczek Edward]

DOPUST BOŻY.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

z XVII wieku.

12. R

E. Zorjana. [pseud.]

Katolickie Towarzystwo Bonin Polskich

BIBLIOTEKA PARAFIALNA W BNINIE 432.

WARSZAWA

Skład główny w „Księgarni Polskiej"—Warecka 14, oraz w księgarni G. CENTNERSZWERA—Marszałkowska 143.

—

1901.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 2 Марта 1901 года.

189197

432.

I.

Wśród gór wysokich, poprzedzielanych głębokimi
rami i rozdołami, pokrytych czarnymi borami, leżała
Świcą mała wioska Zarzecze.

Środkiem przepływała bystra górska rzeka, któ
wody, spadając z łoskotem z kamienia na kamień, tv
rzyły cały szereg wodospadów, przez lud tamtejszy z
nych szypotami. Zbliska wydawała się Świca jakby
piąca, tak ciągle burzyła się w niej woda; zdaleka s
szeć było można huk fal, rozbijających się o kamienie
szypotach.

Ładnie tu było w lecie, gdy promienie zachodzą
go słońca odbijały się od rozpryskującej się wody, g
ptactwo wesoło świegotało, a z gór dolatywał odg
dzwonków, zawieszonych na szyi krów, aby je łatw
można odszukać w razie zbłąkania się.

Późnym wieczorem, w początkach lipca roku 16
na ganeczku małego dworu siedziało kilka osób.

Kobieta około lat czterdziestu i mężczyzna szpal
waty rozmawiali zcicha. Niedaleko od nich krzątała
dziesięcioletnia dziewczynka, przyglądając się przy świ
księżyca kwiatkom, rosnącym na kilku grządkach p
oknami dworku.

Byli to państwo Ostaszewscy, właściciele wioski Zaecza, i ich córeczka, Gieruszka.

Pan Ostaszewski, choć całe życie musiał pilnie prawać około roli, która skąpo dawała zboża, wesół był wsze i zdrów, a do roboty nigdy się nie lenił. Wieiał, że „kogo Pan Bóg stworzy, tego nie umorzy", lecz miętał także, że trzeba pracować i żyć uczciwie, aby eć powodzenie na świecie.* Pracował więc chętnie zczęściło mu się. Chleba zawsze u niego było podstatkiem, mięsa też nie brakło, a zimą zwykle nabił e zwierzyny, że i dla nich starczyło, i sąsiada było em poczęstować.

Podczas gdy rodzice rozmawiali, Gieruszka skończyzajęcie około grządek i pobiegła ku opłotkom, wyglą jąc ciekawie na góry i doliny, a osobliwie na rzekę, rej fale, rozpryskując się o wielkie kamienie w miljony opel, wyglądały jak srebro przetkane perłami.

Świca tak błyszczała w świetle księżyca ponętnie, ner jej był taki harmonijny, że Gieruszka, zapomniawszy obie, zapatrzyła się i zasłuchała. Byłaby tak pewno długo la wsparta o furtkę, gdyby nie spostrzegła na rzece mnego punktu, który, przeskakując z kamienia na kaeń, zbliżał się coraz bardziej. Chwilkę patrzyła Gieszka na ten ruchomy punkt, potem w ręce klasnęła zawołała głośno:

— Janek, Janek płynie!

Matka powstała szybko z ławki, aby podejść do rtki, i widziała, jak córka, żywo skacząc, biegła ku ece.

— Gieruńciu, Gieruńciu! — wołała matka — uważaj!

Wstał i pan Ostaszewski, lecz, gdy podszedł do rtki, już nie zobaczył małej łodzi, która zniknęła przy zegu, zarosłym młodą grabiną.

Zamyśleni rodzice patrzyli przed siebie, milcząc, jakby w tej chwili jedną tylko myśl mieli i jakby się modlili o szczęście dla tych dzieci dwojga, które kochali bardzo i wychowywali troskliwie.

Krótko trwała ta cisza.

Na wąziutkiej stromej ścieżce ukazał się Janek, prowadząc Gieruszkę za rękę. Zdaleka uniósł czapkę i radośnie witał rodziców, którzy z zadowoleniem patrzyli na kochające się dzieci.

Janek był chłopak rosły, zgrabny i silny. Miał już lat ośmnaście, skończył szkoły we Lwowie, a będąc niezbyt zamożnym i nie mogąc kształcić się dalej, powrócił do domu rodzicielskiego pomagać ojcu w gospodarstwie i od niego uczyć się, jak rolę uprawiać, aby później mógł sam sobie dać radę i ojca na sędziwe lata we wszystkiem wyręczyć.

Zuch był do wszystkiego. Umiał doskonale jeździć konno, pływać i wiosłować, zapuszczać sieci i polować, a przytem nie powstydziłby się wziąć do rąk pługa lub cepów. Rodziców kochał i szanował i nigdy nie zrobił nic wbrew ich woli. Gieruszka, która także dobrem była dzieckiem, patrząc na taki wzór, uczyła się od brata miłości, należnej rodzicom, i we wszystkiem szła za jego radą.

— Cóż, chłopcze — zapytał pan Ostaszewski po przywitaniu — jak się udała robota?

— Zdaje się, że dobrze. Jutro skończymy ubijanie faszyny, a jak się jeszcze kamieniami przyłoży, to spodziewam się, że Świca nie dostanie się do naszego jęczmienia.

— Jaki to sprytny gospodarz! — zawołała z radością matka.

— Pewno—rzekł ojciec — ja tu tyle lat gospodaruję,

a prawie co rok urywa mi rzeka kawał brzegu i zboże zalewa.

— Nie chwalcie mię, proszę — odezwał się Janek— jeszcze nie wiadomo, czy robota będzie skuteczną; musimy czekać na próbę.

Podeszli już byli do ganku. Gierunia wskoczyła na ławkę i, gładząc brata po twarzy, mówiła:

— Mój Janku, mój Janku, jaki ty dobry jesteś.

— Jestem taki, jakim każdy być powinien; przecież obowiązkiem naszym jest pomagać rodzicom, którzy tyle dla nas dobrego robią.

— Czy to wymówka, że ja nie pomagam?

— Nie, Gieruszko, tyś jeszcze za mała, abyś mogła pracować, ale gdy będziesz mogła, zrobisz to z pewnością.

— Będziemy razem, mój Janku, pracowali, prawda? Ty przecież zawsze ze mną będziesz?

— Dopokąd będę mógł.

— A to co znowu? — zapytała prawie przelękniona Gieruszka.

— Wszakże całe życie w zagrodzie siedzieć nie mogę, bo są na świecie inne jeszcze, większe obowiązki— odparł Janek poważnie.

— Co ty mówisz, Janku? Czyż są większe obowiązki nad miłość rodziców i wspieranie ich?

— Są, moja Gieruszko, są. Dziecięce lata spędzamy w rodzinnem gnieździe, tu się uczymy pracować i kochać rodziców. Długie lata można nieraz przeżyć w spokoju wśród rodziny, ale bywają wypadki, że trzeba rzucić dom i najbliższych swoich i spieszyć w świat szeroki!

— Ale ty Janku, ty miałbyś nas porzucić kiedy?— mówiła z płaczem Gieruszka.

Janek objął siostrę i przycisnął ją do serca. Od

jego ogorzałej twarzy jak złoto odbijały śliczne jej jasne włosy, spadające na ramiona.

Rozpłakała się nadobre. On ucałował jej główkę i rzekł:

— Nie płacz, Gieruszko, lecz zrozumiej dobrze, co ci powiem. Póki będzie można, zostanę z wami; ale gdyby nieszczęście spadło na nasz kraj, gdyby Tatarzy wtargnęli do nas, wtedy muszę pójść, abyśmy nie zginęli wszyscy. Kochasz mnie i pragniesz, abym zawsze przy tobie został, lecz pomyśl, coby się stało, gdyby każdy powiedział: ja zostanę przy moich rodzicach, przy siostrze, a inni niech się idą bić? Okazałoby się, że każdy miałby rodziców, rodzeństwo, i nikt nie poszedłby bronić kraju. Wtedy Tatarzyn wtargnąłby do ziemi naszej bez oporu, zrabowałby dwory, ludzi pozabijał, zagrody popalił, a pozostałych przy życiu zabrałby do niewoli.

— O Boże!—zawołała Gieruszka.

— Widzisz, moja kochana, gdyby nas tu wróg napadł w naszym dworze, nie dalibyśmy mu rady, bo nas jest mało; lecz gdy wszyscy silni mężczyźni zbiorą się w wielkie wojsko i staną na granicach kraju, wtedy łatwo im przyjdzie odeprzeć nieprzyjaciela. Dlatego to, gdyby wojna wybuchła, poszedłbym i ja także.

— O, mój Janku, jaka straszna musi być ta wojna!

— Pewno, że to nie zabawka.

— Tam ludzi zabijają?

— Nie jednego.

— I ty możebyś zginął? — zawołała przerażona.

— Moja droga Gieruszko, uspokój się. Najpierw, wcale na wojnę nie idę i zdaje się, że jej rychło nie będzie; powtóre, idąc, spełnię powinność moją, będę stawał w obronie miljonów bezbronnych, takich jak nasza matka

Bnin Robotników Polskich

i ty. A wreszcie pamiętaj o tem, że człowiek ma życie od Boga i wtedy ginie, gdy Bóg zechce. Bez woli Bożej nikomu z nas, choćby i na wojnie, włos z głowy nie spadnie.

Przez cały czas tej rozmowy rodzice milczeli, słuchając uważnie i wpatrując się w dzieci. Teraz już ojciec dłużej nie mógł wytrzymać spokojnie. Pochwycił Janka w objęcia i uściskał.

— Myśl tak i czyń zawsze, mój chłopcze—zawołał— a będziesz pociechą i chlubą naszą.

Matka aż rozpłakała się z radości, że tak zacnego ma syna.

Gieruszka, choć dobrze jeszcze słów Janka nie zrozumiała, uczuła radość, widząc pieszczoty rodziców, i jak oni, dumną była, że Janek jest jej bratem.

— A to co za uroczystość, że się sąsiedzi tak całujecie?—odezwał się od furtki gruby głos męski.

Wszyscy odwrócili się w tę stronę.

Na podwórze wchodził mężczyzna ogromny, barczysty, obrośnięty na twarzy jak niedźwiedź, i wymachując czapką na powitanie, zbliżał się do ganku.

— Sąsiada kochanego, dawno niewidzianego!—zawołał pan Ostaszewski, spiesząc naprzeciw gościa.

Wszyscy ruszyli naprzód.

Pan Browicz, bliski sąsiad Zarzecza, był zawsze mile widziany u państwa Ostaszewskich. Był wesoły, zabawiał wszystkich ciekawemi nowinkami, a że często jeździł to do Lwowa, to do Warszawy, więc też zawsze miał coś ciekawego opowiedzieć. I teraz długo go nie było, bo jeździł na sejm do Warszawy. Wszyscy byli radzi pogawędzić wieczór cały z panem Browiczem.

— Kopę lat nie widzieliśmy kochanego sąsiada—zawołał pan Ostaszewski.

— Pewno—odpowiedział tenże;—alboż to sąsiad nie wie, żem był na sejmie, a tam czas szybko bieży. Ale powiedzcie, czegoście się tak ściskali?

— Janek tak nam serca rozgrzał.

— Zuch chłopak. A cóż to on mówił?

— Gieruszka pytała go, czy pójdzie na wojnę.

— A jemu pewno pilno na wojaczkę?

— Pilno—nie,—odrzekł Janek—lecz gdy będzie potrzeba, to pójdę pierwszy.

— No, to ciesz się chłopcze, bo.....

— Będzie wojna?—zapytali wszyscy razem.

— Ależ powoli, powoli, dajcie mi odsapnąć z drogi. Mamy jeszcze czas; pogadamy, a może i o wojnie czegoś się dowiecie.....

— Będziemy cierpliwi — rzekła pani Ostaszewska — a teraz prosimy sąsiada na kolację.

Pan Browicz podał rękę gospodyni, za nimi poszedł Ostaszewski, a wreszcie Janek, którego Gieruszka trzymała obiema rękami, jakby obawiając się, że może go wkrótce stracić.

Po kolacji, którą spożyto mało mówiąc, Gieruszka poszła spać, choć wolałaby zostać, aby się dowiedzieć czy będzie wojna, czy nie. Lecz taki był zwyczaj w domu państwa Ostaszewskich, że dzieci kładły się wcześnie i nie było także przyjętem, by starsi przy nich rozmawiali o sprawach kraju.

Jankowi wszakże pozwolili rodzice zostać przy gościu, aby, dorastając już, nauczył się czegoś i wiedział, jak starsi radzą i myślą.

— Teraz opowiadajcie sąsiedzie, co zrobiono na sejmie i czy nie zagraża nam jaka burza? — odezwał się gospodarz domu.

Pan Browicz obtarł usta, odchrząknął i zaczął mówić:

— Zawiele pytasz naraz, sąsiedzie. Dużo można opowiedzieć o Warszawie i o sejmie, a można też i nic nie powiedzieć.

— Jakto?

— Bo radzono dużo i długo, a nie uradzono nic.

— Czyż to być może?

— Tak jest. Król chciał czego innego, panowie czego innego, a hetman znowu czego innego.

— I nie przyszło do zgody?

— Nie. Król byłby za przygotowaniem się do wojny i może spodziewa się jej; pan hetman Sobieski oczekuje jej lada dzień i nagli do obrony i zbierania wojska, ale panowie śmieją się z tych obaw.

— Jakto! — zapytał Ostaszewski — gdy hetman i to taki, jak Sobieski, mówi, że będzie wojna, nie wierzą mu?

— Nie wierzą. Niema się zresztą czemu dziwić, boć przecie i drudzy mają oczy, nie sam hetman tylko, a jednak nikt nie przypuszcza, aby Turczyn śmiał się na nas porwać. Sobieski dobry żołnierz, lecz myśli o wojnie tylko, chociaż spokój panuje zupełny na kresach ukraińnych.

— Mnieby się zdawało, że hetman nie może się mylić, gdy idzie o wojnę z Turkami—zna on ich doskonale. Powiadasz tedy, sąsiedzie, że na kresach spokojnie?

— Najzupełniej. Mam tam krewnych i przyjaciół i często od nich odbieram listy. Nieprzyjaciel ani śmie oczu pokazać.

— Więc na sejmie nie uchwalono zbierać wojska?

— Nie, bo sejm zerwano i narady się nie skończyły. Pan hetman bardzo markotny, ale kraj nie mógł ponosić nowych ciężarów. Zresztą, gdyby nawet Turcy nas napadli, ma hetman dość wojska, aby ich przepędzić za dziesiątą górę.

Pan Ostaszewski zamyślił się. Po chwili dopiero zapytał.

— Dawno miał sąsiad wieści z kresów?

— Jadąc z sejmu do domu, spotkałem kilku dawnych towarzyszy broni.

— Mówili co o niebezpieczeństwie?

— Ani słowa. Opowiadali, że turczyna, ani żadnego rozbójnika, nie zobaczy nawet zdaleka. Spokój wszędzie; tam nawet, gdzie do niedawna włóczyły się liczne bandy zbójeckie, teraz w nocy można jechać bez broni.

— Czemuż to zawdzięczać należy?

— Dobremu gospodarstwu pana Wołodyjowskiego, stolnika przemyskiego, który od roku jest komendantem w Chreptiowie.

— Znam go dobrze, tęgi to żołnierz.

— I gospodarz nielada. Rok ledwo jak został komendantem w Chreptiowie, a zaprowadził porządek taki, jakiego tam nie widziano. Pan hetman, który zna kresy doskonale, poobsadzał wszystkie zamki i zameczki wojskiem, aby nie dopuszczało rabunków. Na drodze z Kamieńca podolskiego do Mohylowa brakło zamku i wojska, więc też rozbójnicy włóczyli się kupami, napadając przejezdnych i kupców, którzy drogie towary sprowadzali ze Wschodu. Otóż Sobieski kazał w Chreptiowie, który leży w środku pomiędzy Kamieńcem a Mohylowem, wybudować małą forteczkę z drzewa, okopać wałami, otoczyć palisadą z grubych pali i tam osadził pana Wołodyjowskiego, znając dobrze jego odwagę i sumienność. Od tej chwili można śmiało jeździć do Kamieńca, Mohylowa i dalej nawet.

— Cieszy mię to bardzo, bo właśnie jestem w kłopocie. Ciotka mej żony, mająca majątek tuż koło Kamieńca, zaniemogła bardzo i prosi, abym jej przysłał żonę

i dzieci. Obawialem się okropnie w tak niepewny czas wysłać ich w tamte strony.

— Ależ, sąsiedzie kochany, nie myśl o niepewnych czasach, bo trudno o pewniejsze. Wszakże ksiądz biskup kamieniecki Lanckoroński, który dotąd spokojnie siedział na Pradze pod Warszawą i mógłby tam długo jeszcze zostać, teraz właśnie zjechał do Kamieńca. Nie uczyniłby tego, gdyby się obawiał wojny.

— Uspakajasz mię, sąsiedzie. Wiesz, że sam nie obawiałbym się jechać choćby do Turcji, ale puścić żonę i dzieci....

— Proszę ojca, toż ja potrafię już szablą machać, gdy będzie potrzeba—odezwał się Janek.

Ojciec poklepał go po ramieniu.

— Dobrze, mój zuchu, pojedziesz z matką i Gieruszką; wiem, że prędzej dałbyś się porąbać w kawałki, aniżelibyś odstąpił twoich najbliższych.

Janek ucałował ojca w kolana, potem wyprostował się jak żołnierz i rzekł:

— Da Bóg, nie zrobię ojcu wstydu.

— To mi się podoba!—zawołał pan Browicz.— Nie trzeba nigdy wyzywać niebezpieczeństwa, ale unikać także nie godzi się. Zajedziecie spokojnie, choć temu zuchowi nie zawadziłaby już wyprawa wojenna. Dałby sobie radę z Turkiem czy Tatarem, bo mu odwaga patrzy z oczu, a od ojca pewno nauczył się doskonale szablą robić.

Rozmawiano dalej o rozmaitych sprawach krajowych i gospodarskich. Późno już było, gdy wszyscy udali się na spoczynek.

Janek długo nie mógł usnąć, a potem śniła mu się wojna z Turkami, których bił i siekł ich łby, jak makówki.

Obudziwszy się, ledwo oprzytomniał, przekonawszy się, że wcale na wojnie nie był. Nie miał zresztą wiele

czasu do rozmyślania, bo trzeba było spiesznie przygotować się do podróży.

Wszyscy krzątali się dwa dni bezustanku, aby niczego nie zapomnieć. W owych czasach podróże były uciążliwe, bo i długo trwały, i narażały na liczne niewygody. Trzeba było z sobą brać pościel i żywność, a gdy droga była daleka, to na zabranie zapasów nie wystarczyła nawet wielka bryka.

Pani Ostaszewska zajęła się przygotowaniem pościeli i żywności. Gieruszka, choć mała, pomagała matce we wszystkiem. Janek doglądał bryczki i wozu, które miały wyruszyć w podróż. Sam obejrzał każde koło i szczebel, wiedząc, że lepiej naprawić w domu, aniżeli zatrzymać się w drodze. Był przy kuciu koni i nasypywaniu owsa, słowem okazał się prawdziwym gospodarzem. Nie chciał, aby ojciec się męczył tem wszystkiem, i cieszył się, że może już tak dalece być pomocny rodzicom.

Trzeciego dnia wyruszono w podróż. Pan Ostaszewski odprowadził żonę i dzieci dwie mile od swej wioski, wreszcie musiał ich pożegnać, bo potrzebny był w domu. Nadchodziły żniwa, więc niepodobna było zostawić gospodarstwa na łaskę czeladzi.

Popłakali się wszyscy przy pożegnaniu. Ojciec polecał Jankowi roztropność na każdym kroku i czuwanie nad bezpieczeństwem matki i siostry. Janek słuc[illegible]waż nie rad ojcowskich, poprawił szabli u pasa, obejrzał pistolety i, gdy ojciec znikł na zakręcie drogi poza górami, ruszył naprzód.

Konie szły raźno, parskając, pogoda była piękna, skowronki, ulatując wysoko, przyśpiewywały ślicznie, i podróżni, poleciwszy się opiece Boskiej, spodziewali się szczęśliwie przebyć drogę w ciągu dni czterech.

II.

Nad brzegami Dniestru, wśród równin Podola, ziemia wygląda jakby popękana, tak liczne w tych okolicach znajdują się jary. Brzegi tych jarów piętrzą się skałami, zarastają gajami, a na dnie ich sączą się potoki lub szumią rzeczki.

Ziemia to urodzajna, i słusznie o niej powiadano, iż płynie mlekiem i miodem.

Ale jednej rzeczy brakło mieszkańcom Podola — spokoju. Długie wieki były w tych stronach widownią częstych i zaciekłych wojen, tędy bowiem do Polski wchodzili Turcy i Tatarzy,—a wchodzili nie raz i nie z przyjaźnią, lecz po to, by ogniem i mieczem kraj niszczyć, a ludzi wolnych chwytać w pęta i pędzić daleko do Turcji lub Krymu w niewolę, czyli, jak nazywano wówczas, w jasyr. Setki tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci porywali Tatarzy i Turcy z Polski, a ledwo dziesiątej części udało się szczęśliwie, nieraz po długiej niewoli, do ojczyzny powrócić.

Bro[illegible] się Polska, wielekroć srogie staczała wojny, lecz [illegible] mogła złamać potęgi tureckiej, nie mogła oswobodzić Podola od nowych napadów. Zdarzało się także, iż nieszczęście spadało na kraj z winy posłów, którzy zbierali się na sejmy, aby radzić nad całością i dobrem Rzeczypospolitej. Gdy ludzie przezorni ostrzegali przed grożącym napadem, inni wprost śmieli się z tego i nie wierzyli, żeby Turcy odważyli się do Polski wtargnąć. Nie uchwalali więc zgromadzenia wojska, ani podatku na jego utrzymanie, bo pewni byli spokoju. A gdy nie-

szczęście na kraj spadło, poznawali za późno swój błąd, lecz już go naprawić nie było można.

Ażeby łatwiej bronić swych ziem i granic, budowali Polacy zamki na skałach i górach, tam osadzali stałe załogi wojskowe, aby w każdym wypadku można było stawić opór nieprzyjacielowi, dopóki nie zbierze się wojsk i nie stanie do walki w otwartem polu. Takich zamków obronnych było na Podolu wiele. Między innymi niedaleko siebie stały dwa znaczne, o których zdobycie często kusili się Turcy. Był to Kamieniec Podolski nad Smotryczą, niedaleko jej ujścia do Dniestru, i Chocim nad Dniestrem, sławny w dziejach Polski, bo pod jego murami rozegrały się najważniejsze bitwy. Dwie te fortece były niby bramami, wiodącemi do Polski.

Kamieniec leży na wysokiej skale, nad rzeką o niedostępnych brzegach, tak, że niełatwo było dostać się do niego nieprzyjacielowi. Miasto zbudowane na górze, obwiedzione było grubymi murami i fosami, aby utrudnić przystęp napadającym, a obrońcom dać schronienie bezpieczne. Wśród murów sterczały baszty silnie zbudowane, skąd żołnierze rzucali ogniste pociski na napastników i walili z dział. Oprócz tego był jeszcze zamek bardzo obronny, który nawet po zdobyciu miasta mógł długo się opierać, bo i mury miał grube, i broni wszelkiej zapasy znaczne.

Z rozkazu wielkiego hetmana koronnego, Jana Sobieskiego, zaczęto na wiosnę roku 1672 pracować około naprawy fortecznych murów Kamieńca. Ksiądz biskup Lanckoroński, choć nie był wojownikiem, bardzo się starał, aby robota szła szybko i dobrze. Inni panowie, którzy mieli dozór nad twierdzą, krzątali się żywo i sami dawali pieniądze na robotników.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA

W mieście powstał strach; wiedziano, że bez celu nie traconoby czasu i pieniędzy na te roboty, o których dotąd nikt nie myślał. Zaczęto mówić o wojnie, o spodziewanym napadzie Turków i oczekiwano ich lada dzień. Ten i ów myślał już o ucieczce z miasta, lecz inni radzili czekać spokojnie. Większość wierzyła, że, gdyby nawet wojna była, to Kamieńca Turcy nie zdobędą nigdy, tak jest mocny i obronny. Sądzono nawet, że naprawa murów jest zbyteczną.

Zaczęto wypytywać dokoła, czy się gdzie Turcy lub Tatarzy nie pokazują, lecz nikt ich nie widział. Spokój panował na całem Podolu. Ziemianie zajęli się żniwami, mieszkańcy Kamieńca handlem i rzemiosłem. Każdy był pewnym, że rzucono tylko płonny postrach, lecz że spokojnego życia żadna burza nie naruszy.

W Kamieńcu było wojska mało, gdyż potrzebowano go do obsadzenia innych zamków i tak zwanych blokhauzów, to jest domów drewnianych, położonych gdzie nad brzegiem jaru, otoczonych rowami i częstokołem podwójnym, dla bezpieczeństwa.

Taki blokhaus był pod komendą pana Wołodyjowskiego w Chreptiowie, i tam właśnie bawił ten dzielny rycerz, mając częstych i licznych gości. Stały też załogi w Żwańcu i innych zamkach. Wszędzie była garść wojska pod dobrą komendą i wszędzie miano baczne oko na to, co się w okolicy dzieje. Wszyscy komendanci byli doskonałymi żołnierzami i trzymali swe oddziały w karbach, aby się wojsko nie rozwłóczyło i było gotowe na każde zawołanie.

Spokój zdawał się wszędzie panować, nikt nie spostrzegł ani śladu nieprzyjacielskiego, — lecz miano się na baczności, wiedząc, że wrogom nigdy dowierzać nie można.

Wtem niespodziewanie przyszli gońce od hetmana do komendantów, aby zbierali załogi i śpieszyli do Kamieńca pod główną komendę starosty Mikołaja Potockiego. Po drodze dochodziły ich wieści o oddziałach wołoskich i tatarskich, które plądrowały wsie i miasteczka. Ale to były posłuchy tylko.

W Kamieńcu strach zdjął mieszkańców; wojsko zajęło miejsca przeznaczone przez dowódców; przyśpieszono roboty koło wałów i murów, lecz nikt jeszcze nie wiedział, jakie grozi niebezpieczeństwo.

Nadszedł oddział wojska, ofiarowany na usługi Rzeczypospolitej przez biskupa krakowskiego Andrzeja Trzebickiego, dobrze uzbrojony i pełen odwagi rycerskiej. Pomoc ta rozradowała wszystkich, lecz oczekiwanie w niepewności dręczyło mieszczan. Teraz już nietylko nie dziwili się naprawie murów, lecz sami chętnie dawali pieniądze na ten cel i stawali do roboty, aby tylko ją przyśpieszyć. Szło im o własną skórę. Obrona dawała życie—niewola śmierć i utratę majątku.

Postanowiono więc bronić się do ostatka, chociaż wierzono jeszcze, że Kamieńca nikt zdobyć nie zdoła. Cała załoga zamku liczyła tylko 2100 ludzi. W porównaniu z potęgą, którą Turcy zwykle prowadzili na Polskę, była to garść zaledwie. Turcy mieli zawsze krocie bitnego ludu, nasi ledwie na tysiące liczyli żołnierzy.

Wiedzieli o tem Kamieńczanie i drżeli ze strachu. Ale wiedzieli także, że garść naszych nie cofnie się przed żadną potęgą i będzie broniła miasta do ostatniej krwi kropli.

To ich pocieszało, dodawało otuchy, wzmacniało nadzieję zwycięstwa. Najwięcej wszakże ducha dodawał wszystkim pan Wołodyjowski.

Dzielny ten żołnierz przeczuwał, że wielka burza wisi nad Polską, choć jeszcze potęgi tureckiej nie widział. Rozumiał, że ciężkie nadejdą chwile, lecz właśnie dlatego dodawał wszystkim odwagi i zachęcał żołnierzy do męstwa. Mieszczanie kamienieccy, patrząc na niego, robili wszystko, co kazał. Niejeden, nieprzyzwyczajony do ciężkiej pracy, pocił się kopiąc ziemię i znosząc kamienie wśród skwarnego lata, lecz żaden nie przyznał się, iż wolałby ysypiać się w domu, bo by się wstydził tchórzostwa w chwili, w której wszystkim groziło niebezpieczeństwo.

Pewnego dnia, bardzo rano, gdy mieszkańcy Kamieńca jeszcze spali, a tylko garść robotników zaczynała pracę około murów, pan Wołodyjowski wyszedł na wały dla doglądania najpilniejszych robót.

Na równinie, otaczającej Kamieniec, pusto było zupełnie. Czyste powietrze pozwalało widzieć daleko na mil parę. Wołodyjowski zapatrzył się w dal i zamyślił. Może przeczuwał, że na tej pięknej i żyznej równinie wkrótce zalegną łany głów ludzkich, a zielone łąki zaczerwienią się od krwi.

Wtem nadstawił ucha i zaczął nasłuchiwać. Zdawało mu się, że słyszy oddalony tętent. Nie dojrzał jednak nikogo, choć oczy dłonią przysłonił; tętent zaś słyszał coraz wyraźniej. Pobiegł ku bramie, pewnym będąc, że ktoś z ważną wiadomością jedzie do Kamieńca.

Zaczął się spuszczać po pochyłości góry, aby rychlej dopatrzeć posłańca. Spory kawał czasu upłynął, gdy zobaczył młodego chłopaka, pędzącego co koń wyskoczy ku bramie twierdzy. Objeżdżał wkoło i dlatego dopiero teraz Wołodyjowski go spostrzegł. Koń był cały okryty pianą ze zmęczenia, lecz jeździec nie zwalniał biegu, przeciwnie gonił bez wytchnienia.

Wołodyjowski prawie zdjął chłopca z konia.

— Co się stało? — zawołał. — Mów prędzej, skąd i z czem?

Chłopak zaczerpnął pełną piersią powietrza, bo ze zmęczenia nie mógł wymówić słowa.

— Od Hryńczuka pędzę, Tatarzy napadli!..

— Jezus, Marja! — zawołał pan Wołodyjowski, a po chwi biorąc chłopca za rękę, dodał: — Chodź prędzej ze mną; zaraz pójdziemy z pomocą.

Pospieszyli biegiem do bramy. Tu kazał pan Wołodyjowski trębaczowi zagrać pobudkę, chłopca zostawił, sam zaś pobiegł do swego mieszkania po broń i konia. Po drodze zbierał towarzyszy, pośpiesznie im opowiadając, co się stało, i zawiadamiając, że natychmiast muszą wyruszyć na pomoc.

Nie upłynęło dziesięć minut, gdy już całe miasto było na nogach. Kobiety płakały, wypytywały chłopca, który przywiózł wiadomość o Tatarach, a mężczyzni zbierali się kupkami, aby być w pogotowiu do obrony.

Pan Wołodyjowski prędko zebrał część swoich podkomendnych i nie mogąc się doczekać wszystkich, wybrał mały oddział, aby go wysłać naprzód. Właśnie miał naznaczyć dowódcę tego oddziału, gdy wystąpił człowiek młody, rosły, któremu z oczu biła odwaga, śmiałość i rzekł:

— Mości pułkowniku, pozwól mi pójść z twoimi żołnierzami. Serce mi skacze, takbym chciał zobaczyć Tatarów. Wstydu nie uczynię, prędzejbym zginął.

Podobał się bardzo Wołodyjowskiemu ten zapał młodego żołnierza. Znał go trochę i ufał mu. Był to Józef Wasilkowski, młodzieniec zamożny, odważny i pragnący bić się choćby całe życie. Pułkownik uśmiechnął się i poklepawszy Wasilkowskiego po ramieniu, rzekł:

— Dobrze, bracie, weź moich żołnierzy i jedź co koń wyskoczy w stronę Hryńczuka, abyś dopadł Tatarów, nim znaczną szkodę uczynią. Ratuj naszych, a weź bodaj jednego Tatara żywcem, abyśmy go wypytać mogli.

Wlot skoczył Wasilkowski na konia, i za chwilę mały oddział był już za bramą Kamieńca, pędząc ku Dniestrowi, gdzie leżała wieś Hryńczuk.

Pędzili jak wicher, wiedząc, że chwili czasu niema do stracenia. Choć w takim pośpiechu, wojsko szło porządnie, ściśle się trzymając, aby każdej chwili módz uderzyć na nieprzyjaciela.

Oddział ten, dobiegając do brzegu Dniestru, spostrzegł tłum pędzący na małych koniach ku rzece.

Wasilkowski obejrzał się, czy wszyscy do boju gotowi.

— W Imię Boże, naprzód!—zawołał.

Konie pomknęły jak strzały; po chwili wpadli nasi na Tatarów i Wołochów, którzy zaczęli się przeprawiać przez Dniestr. Polacy rzucili się na nich zaciekle, rąbiąc w prawo i lewo. Popłoch powstał między Tatarami. Zaczęli uciekać i wpław rzucili się do rzeki. Na łodziach przeprawiali wozy, bydło i ludzi, porwanych w niewolę.

Wasilkowski, zajęty bitwą, nie spostrzegł tego w pierwszej chwili. Wtem doleciał go głos:—Ratujcie!

Spiął konia ostrogami i, skinąwszy na najbliższych, rzucił się ku łodziom. Były blisko brzegu, więc konie dna nie traciły.

Tatarzy i Wołosi, których było najwięcej, zaczęli popędzać łodzie ku środkowi rzeki, aby umknąć z zabranym łupem. Ale Wasilkowski zastąpił im drogę i rozpoczął siekaninę. Nie uważał nawet, kto się na łodzi znajduje, gdy usłyszał wołanie:

— Rozetnijcie sznury.

Spojrzał w stronę wołającego i pospieszył mu z pomocą. Rozciął powrozy, krępujące ręce i nogi młodego chłopaka, który zaraz powstał, chwycił szablę, leżącą na dnie łodzi, i płatnął nią Tatara przez głowę.

Teraz dopiero spostrzegł Wasilkowski, że przed chwilą groziło mu niebezpieczeństwo wielkie. Oto Tatar, pilnujący jeńców, zakradł się cicho poza jego plecami i, gdy Wasilkowski pochylił się, aby sznury poprzecinać, zamierzył się na niego z nożem.

Nie było czasu na podziękowanie. Trzeba było bić wrogów i ratować jeńców i ich dobytek. Nasi wstrzymali łodzie, Tatarzy bronili się, lecz, widząc, że nie dadzą rady, zaczęli umykać. Chciwi Wołosi byli upartsi. Żal im było łupu, próbowali jeszcze pomknąć ku środkowi rzeki, gdzieby już łatwo było z prądem szybko umykać. Ten i ów starał się bodaj cokolwiek z łodzi porwać, lecz usiłowania te były daremne. Wkrótce i reszta uciekła.

Młody chłopak, wyzwolony przez Wasilkowskiego z pęt, nie mając konia, musiał pozostać na łodzi. Miał też tu robotę nielada. Na łodzi leżało ośm osób powiązanych, te więc najpierw musiał oswobodzić. Gdy już wszystkich porozwiązywał i spostrzegł, że nieprzyjaciel umyka wpław, nie mogąc go gonić, padł na kolana przed kobietą, która ze łzami w oczach, przycisnęła go do piersi i ucałowała. Mała dziewczynka podniosła się i uchwyciła go obiema rączkami za szyję, wołając:

— Janku mój, Janku!

Była to rodzina Ostaszewskich.

W tej chwili właśnie nadjechał na spienionym i zbłoconym koniu Wasilkowski i zatrzymał się, nie chcąc przerywać serdecznego rozczulenia nieznanych mu ludzi-

Wiedział tylko, że ocalił ich z niewoli. Chciał się cofnąć, aby nie myślano, że czeka na podziękowanie, lecz Janek podniósł się i, zobaczywszy go, wyciągnął ku niemu ręce.

— Zbawco nasz!—zawołał.

Wasilkowski podjechał bliżej i, poznawszy Janka, rzekł:

— To waść życie mi ocaliłeś!

Dał żołnierzom znak, aby łodzie przyciągnęli do brzegu i dopiero, gdy wszyscy na ląd wysiedli, chwycił Janka w ramiona i jak brata ucałował. Potem, zwracając się do kobiet, rzekł:

— Jestem Józef Wasilkowski. Czuję się szczęśliwy, żem przybył w porę, aby państwu dopomódz w potrzebie.

Pani Ostaszewska dziękowała gorąco wybawcy. Wasilkowski odpowiedział, że uczynił swą powinność wojskową, lecz że Janek, zabijając Tatara, od niechybnej wybawił go śmierci, za to on pozostaje jego dłużnikiem. Znowu rzucili się sobie w objęcia i ucałowali.

— Bądź mi przyjacielem i bratem — rzekł Wasilkowski.

— Nie godzien tego jestem, abyś mię waść uznał za brata—odpowiedział Janek skromnie.

— Godzien jesteś i proszę cię o to. Póki żyć będziemy, będziemy się wspierali, bo widzę, żeś zuch i tęgim będziesz żołnierzem.

Nim jeszcze Wasilkowski mógł wypytać się, jakim sposobem pani Ostaszewska dostała się z dziećmi w ręce Wołochów i Tatarów, nadjechał drugi oddział z Kamieńca, wysłany na wypadek, gdyby pierwszy nie mógł wrogom dać rady.

Wśród wojska powstała wielka radość, że tak szczęśliwie udała się pierwsza wyprawa. Wróżono sobie stąd dalsze powodzenie.

III.

Czas było wyruszyć z powrotem. Teraz dopiero dowiedział się Wasilkowski, dokąd pani Ostaszewska jechała, jak ją rabusie napadli, skrępowali pomimo obrony Janka i uprowadzili wraz z innymi. Wobec niebezpieczeństwa nie można było myśleć o dalszej podróży, choć już pozostawał tylko mały kawałek drogi do majątku ciotki. Nie było innej rady, jak tylko wrócić do Kamieńca, wypocząć, a gdy będzie można, pojechać do domu, gdzie byłoby najbezpieczniej.

Niebezpieczeństwo było tak groźne, iż pani Ostaszewska nie mogła innej drogi obrać i musiała się zgodzić na uprzejme zaproszenie.

Wkrótce nadjechał pan Wołodyjowski. Dowiedziawszy się o całej przygodzie, pochwalił postępowanie Wasilkowskiego i ofiarował pani Ostaszewskiej gościnę w domu swej matki. Janka po ojcowsku uściskał i zaprosił, aby wstąpił do jego chorągwi i bił się z Turkami, gdy taka sposobność się zdarza.

Jankowi oczy zabłysły z radości.

— Za wiarę i Rzeczpospolitę gotów jestem oddać życie!—zawołał.

— Powinszować pani takiego syna,— rzekł pan Wołodyjowski do matki Janka — będzie z niego żołnierz tęgi i chluba dla rodziny.

— Zamłody jeszcze na to — odpowiedziała pani Ostaszewska.—Pierwszy to raz wyjechał z domu; lecz gdy zmężnieje, chętnie mu pozwolę zaciągnąć się do wojska.

— Nie dziwię się, że syn tak poczciwie myśli i gotów do boju, widząc kraj w potrzebie, skoro tych pięknych zasad nauczył się od tak szlachetnej matki — mówił pan Wołodyjowski. — Ale chłopak zdrów, silny, odważny i poczciwy, a w tej właśnie chwili kraj najbardziej pomocy potrzebuje. Lada dzień zwalą się na nas tłumy Turków i Tatarów, i nastaną ciężkie dni dla wiary świętej i Rzeczypospolitej. Wróg, który na nas idzie, nie poszanuje nikogo: ludzi zabiera do niewoli, lub w pień wycina, grabi dobytek, niszczy pola, domy i miasta, nie przepuszczając nawet świątyniom Pańskim. Rozumiem to dobrze, że w zbyt młodym wieku nie należy młodzieńców narażać na niebezpieczeństwo; lecz bywają chwile, w których kto tylko zdolny bronią władać, usuwać się nie może. Taka chwila dziś nadchodzi. Oto rozpytaliśmy jeńca o siły wroga. Turecki sułtan prowadzi z sobą przeszło dwieście tysięcy żołnierzy, a nas w Kamieńcu jest mało co więcej nad dwa tysiące; jeden więc będzie musiał stanąć przeciwko stu.

— O Boże! — zawołała pani Ostaszewska, załamując ręce. Janek słuchał z wielką uwagą, a gdy pan Wołodyjowski mówił o potędze tureckiej, ściskał w dłoni rękojeść szabli.

— Wielkie grozi nam niebezpieczeństwo — ciągnął pan Wołodyjowski dalej—ciężką będzie walka. Lecz pamiętajmy, że życie ludzkie dane jest od Boga i bez Jego woli nikt nie zginie, ani też nikt się nie uchroni przed śmiercią, choćby skrył się nawet pod ziemię. Dlatego proszę, byś pani synowi pozwoliła iść walczyć, a sam będę go miał na oku i przed niebezpieczeństwem będę go chronił.

Janek rzucił się matce do nóg:

— Mamo droga, pozwól mi stanąć w szeregach dzielnych naszych rycerzy. Bóg nas nie opuści; gdy taka bę-

dzie Jego wola, nic mi się złego nie stanie. Zresztą będziemy się co dnia widywali, bo mateczka zostanie w Kamieńcu, dopóki nieprzyjaciel nie ustąpi. Teraz nie można się puszczać w podróż, ale, gdy wroga odpędzimy, wrócimy razem. Ja cię, matulu droga, nie odstąpię, lecz siedzieć w Kamieńcu z założonemi rękami, gdy takie niebezpieczeństwo grozi, byłoby niegodziwością i wstydzić musielibyście się mnie i ty i ojciec....

Pani Ostaszewska nie mogła się oprzeć prośbie Janka. Podała rękę panu Wołodyjowskiemu i rzekła:

— Oddaję ci, mości pułkowniku, syna, ucz go, jak powinien Rzeczypospolitej służyć. Poddaję się twej woli i opiece.

Janek całował matkę po rękach i nogach. Gieruszkę uściskał, a potem, schyliwszy się do kolan pana Wołodyjowskiego, rzekł:

— Panie pułkowniku! jeśli kiedyś zostanę dobrym wojakiem, to zawsze z wdzięcznością będę wspominał mego pierwszego dowódcę, nauczyciela i dobrodzieja.

— Wstań zuchu, spodziewam się, że będę z ciebie zadowolony, choć ciężka praca cię czeka. Tylko śmiało, odważnie i uczciwie postępuj, a pewno dożyjesz chwały i lepszych czasów. Teraz cię zaznajomię z towarzyszami. Odtąd uważaj ich za braci.

Wziąwszy Janka za rękę, podszedł z nim ku Wasilkowskiemu, lecz ten zawołał:

— My już od godziny jesteśmy znajomi. Toż Janek życie mi ocalił!

Dopieroż zaczął pan Wołodyjowski wypytywać, jak to się stało, i bardzo był zadowolony, że Janek takim przytomnym się okazał.

— Kiedyście się tak pobratali—rzekł — to trzymajcie się odtąd razem.

A zwracając się do pani Ostaszewskiej, dodał:

— Będzie syn pani miał dzielnego towarzysza, który i nauczy go dobrze sztuki wojennej i pewno w ciężkiej przygodzie nie opuści.

— Pewną tego jestem—odpowiedziała pani Ostaszewska — i cieszę się, że zbawca nasz będzie towarzyszem i przyjacielem mego syna.

Towarzysze Janka witali go jak brata, chwaląc jego gorącą chęć walczenia z wrogami.

Wreszcie dał pan Wołodyjowski znak, zabrano zdobycz, odbitą Tatarom, i ruszono w pochód.

Gdy zbliżano się do Kamieńca, Janek oczu nie mógł oderwać od murów i wieżyc potężnego zamku.

Na wałach i basztach widział ludzi zbrojnych, oczekujących lada chwila hasła do boju. Ujrzawszy swoich wracających cało, wydali okrzyk radośny i czapkami machali na powitanie. Ten i ów nawet z pistoletu wystrzelił z radości. Tłumy wyległy na mury i wały, aby oglądać szczęśliwie wracający oddział.

Gdy wjeżdżali przez bramę pełną ludu i wojska do Kamieńca, Janek czuł zawrót głowy, a serce biło mu w piersiach, jakby chciało wyskoczyć.

Pan Wołodyjowski zawiódł Ostaszewskich do domu swej matki. Dobra i miła staruszka rozpłakała się, słuchając opowiadań syna o przygodzie, która spotkała panią Ostaszewską i jej dzieci. Przyjęła gości, jakby jej krewnymi byli, ściskała wszystkich i całowała, a Gieruszkę pieściła bez końca.

Janek, jak tylko mógł najprędzej, wybiegł z Wasilkowskim na miasto. Dziwował się wszystkiemu. Stawał przed kościołami i bogatymi sklepami, przypatrywał się ludziom, dziwnie postrojonym: wielu Ormian nosiło strój pstry, prawie turecki, a pomiędzy obrońcami

miasta byli nawet Tatarzy, którzy spolszczyli się zupełnie i wiernie służyli Rzeczypospolitej. Najciekawiej wszakże przyglądał się Janek żołnierzom, ich broni i murom, miasto okalającym. Sterczały ogromne baszty, zbudowane z kamienia, poczerniałe od słoty i dymu, poszarpane od kul, z otworami na działa, niby oczami. Gdy stanął na murach i spójrzał na dół, na skały, na których zbudowany był Kamieniec i rzekę, płynącą u jego stóp, uczuł, że, choć wróg ma być tak liczny, nie należy się go lękać, bo poza tymi murami jeden człowiek może się bronić przeciwko stu.... Nie znał jeszcze wojny, lecz wyobrażał ją sobie tak, jak słyszał z opowiadania i oczekiwał jej z upragnieniem.

Dni schodziły na oglądaniu miasta, murów obronnych i na ćwiczeniu się w robieniu bronią. Ćwiczenia te wcale Janka nie męczyły. Czuł się coraz silniejszym i rzeźwiejszym, a gdy wieczorem zasiadł z matką i Gieruszką na pogadankę, był wesół i dobrej nadziei.

Matka wiedziała lepiej od niego, co to jest wojna, i dlatego często była smutna i w ukryciu płakała, obawiając się, iż może będzie długo musiała pozostać w Kamieńcu, wśród niebezpieczeństw i niepewności, co się jutro stać może. Gieruszka rada była, że może Janka co dnia widzieć, lecz na wspomnienie Turków obejmowała brata za szyję i tuliła się do niego, jakby w obawie, by ich nie rozerwano.

Tymczasem coraz groźniejsze wieści dochodziły o nadciągającem wojsku tureckiem. Było ogromne i sam sułtan niem przewodził. Mówiono, że więcej aniżeli dwieście tysięcy Turków idzie pod Kamieniec; inni opowiadali, że dwa razy tyle...

Na ratuszu odbywały się narady starszyzny wojskowej, którym przewodził generał podolski, Mikołaj Potocki.

Oprócz wojskowych należał do rady ksiądz biskup Lanckoroński, który wszystkich zachęcał do dzielnej obrony i dodawał odwagi.

Wyznaczono każdemu oddziałowi miejsce, którego miał bronić, i odtąd zaczęła się regularna służba na murach miasta. Nietylko żołnierze stanęli do obrony, lecz także i mieszczanie, a nawet żydzi.

Wasilkowski dostał dowództwo nad oddziałem, który miał pilnować wąskiego przejścia pomiędzy miastem a zamkiem. Janek nie odstępował go na krok.

Gdy już załoga zajęła wskazane miejsce tak, że żaden punkt nie był bez obrony, zaczęto opatrywać mury, których poprzednio nie skończono jeszcze naprawiać.

Tamę na rzece woda zerwała, fosy zasypane ziemią ułatwiały nieprzyjacielowi przystęp, a w murach było wiele wyłomów, przy których obrona byłaby trudna. Wzięto się więc do rychłej roboty. Najmowano robotników ile się dało, aby zaś śpieszniej wszystko naprawić, robiono we dnie i w nocy. Nikt się nie ociągał... Bogaci, ubodzy, starzy i młodzi, wszyscy robili bez wytchnienia prawie.

Janek, który w domu chętny był do każdej roboty, okazał się bardzo czynnym i gorliwym. Wszyscy podziwiali jego spryt i ochotę. Chociaż pot kroplisty lał mu się z czoła, pracował, wesoło pośpiewując.

Po skończonej pracy, gdy mu pozwolono opuścić mury, śpieszył do matki i siostry. Rozmawiał swobodnie, pocieszał je, zapewniał, że Kamieńca nigdy Turcy nie zdobędą, że obrona będzie dobra, że nikt nie myśli nawet o poddaniu się. Aż wkońcu matka uspokoiła się i z radością patrzała na swego zucha, który naprawdę został żołnierzem i miał walczyć na granicach kraju za całość Rzeczypospolitej.

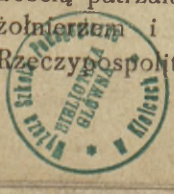

Wtedy i Gieruszka rozweselała się, oglądała Janka dokoła, dziwiła się, że się nie boi chodzić z pałaszem i pistoletami, i pytała go, kiedy mu wąsy urosną, bo przecież wszyscy żołnierze mają wąsy.

Pan Wołodyjowski, który często panią Ostaszewską odwiedzał, pocieszał ją także i dodawał odwagi: i on przecież ma w Kamieńcu matkę i siostrę, a jednak spokojny jest i prędzejby wolał zginąć, niż uchodzić przed wrogiem. Zajął się także wysłaniem listów do pana Ostaszewskiego, dopisując, jak Janek zachowuje się zacnie i jak uczciwie służy. Zapewniał, że Kamieniec obroni się choćby najgroźniejszemu nieprzyjacielowi, że więc może pan Ostaszewski być spokojny o swą rodzinę.

List wyprawiono przez pewnego posłańca i spodziewano się, że dojdzie rąk pana Ostaszewskiego.

Tymczasem dochodziły coraz groźniejsze wieści o potędze Turków. U księdza biskupa zbierała się starszyzna często na narady; ciągle krzątano się jeszcze około wzmocnienia murów. Wojsko rwało się do boju, lecz nie pozwolono nikomu wydalać się z Kamieńca, nie wiedząc, jak daleko jest nieprzyjaciel i w jakiej sile.

W Żwańcu, mieście odległem o dwie mile od Kamieńca, stała jeszcze nieliczna załoga polska pod dowództwem Hieronima Lanckorońskiego. Dzielny ten wódz i żołnierz, pomimo niebezpieczeństwa, nie chciał opuścić swego stanowiska bez walki.

Wtem wpadł do Kamieńca posłaniec z wiadomością, że Tatarzy uderzyli na Żwaniec z wielką siłą, że Lanckoroński walczy z nimi zacięcie, ale będzie musiał uledz, jeżeli rychło pomocy nie otrzyma.

Pan Wołodyjowski wziął mały, ale odważny, oddział i puścił się ku Żwańcowi. Przy jego boku byli Wasilkowski i Janek.

Popędzili jak chmura i z taką siłą uderzyli na Tatarów, że po chwilowej walce złamali ich szyki i jak stado bydła gnali ku Dniestrowi. Wielu pogan zginęło od szabli i kuli, a nie jednego porwał bystry prąd rzeki.

Radość trwała wszakże krótko, bo odpędzonym Tatarom przyszli w pomoc janczarowie tureccy,—żołnierze w boju wyćwiczeni, odważni i mężni, z którymi trudniej było walczyć... Raz i drugi odparto ich atak na Żwaniec, lecz coraz więcej ich przybywało. Nabiwszy ich sporo, lecz przekonawszy się, że zbyt mało jest naszych, aby ich odeprzeć zupełnie, cofnięto się do Kamieńca prawie bez straty.

Janek suknie miał pokrwawione, lecz ranny nie był, a mógł się pochwalić, że od niejednego Turka i Tatara dzielnie się obronił.

Nazajutrz, gdy Wołodyjowski wyprawił podjazd dla złapania jeńców tureckich, od których możnaby się dowiedzieć dokładnie o sile wojska wrogów, Janek do podjazdu się przyłączył i, pokosztowawszy bitwy, znowu wrócił zdrów i cały.

Wobec jawnej już wojny, widząc tłumy Turków, zbierające się pod Żwańcem, biskup Lanckoroński odprawił nabożeństwo, na którem kto żył—był obecny.

Cisza panowała w kościele i tylko czasem można było usłyszeć tłumione westchnienie lub łkanie. Gdy ucichły dzwony, w które bito we wszystkich kościołach, biskup ukląkł i, wzniósłszy do góry Przenajświętszy Sakrament, zwolna, cicho odmawiał słowa przysięgi. Za nim przysięgali wszyscy walczyć do ostatniej kropli krwi i zginąć raczej, niż przystać na hańbę niewoli tureckiej.

Po tej pięknej uroczystości podniósł się duch wszystkich, odwaga wstąpiła w serca, starcy czuli się

silnymi i spieszyli na mury, aby bronić miasta, które stało na rubieży państwa jako strażnica.

Nieprzyjaciel jeszcze pod Kamieniec nie podchodził.

Widząc puste pola, wziął Wołodyjowski oddział wojska i wymknął się z miasta. Ujechali spory kawał drogi, nie napotkawszy nigdzie nieprzyjaciela. Koło Kniehynina, pod laskiem, zatrzymano się. Żołnierze zsiedli z koni, wypoczywając i nasłuchując. Kilku posunęło się naprzód.

Janek, prowadząc konia za uzdę, szedł zwolna w stronę, gdzie lasek się przerzedzał. Inni w drugą stronę patrzyli.

Wtem wstrzymał Janek raptem konia, pochylił się, wzrok i słuch wytężył i stał tak chwilkę. Nagle konia zawrócił, wskoczył nań w biegu i, dając znak ręką, krzyknął: Turcy!

W mgnieniu oka wszyscy byli na koniach, uszykowani porządnie, czekając hasła. Wołodyjowski, zobaczywszy Turków, zawołał: naprzód!

Jak burza zerwał się oddzialik polski i uderzył tak silnie i niespodzianie na Turków, iż ci zupełnie stracili przytomność. Kilku ich padło od pierwszego uderzenia, a kilku zdołano schwycić żywcem. Reszta umknęła co żywo. Wziętych w niewolę przyprowadzono przed wodza.

Między niewolnikami był Buluk-Basza. Tego zaczęto wypytywać, gdzie jest wojsko tureckie i czy liczne bardzo?

Wpatrywał się w pytających, jakby nie rozumiał. Potem odpowiedział:

— To ja raczej muszę was zapytać, skąd się tu wzięliście i jakiem prawem śmiecie nas napadać pod bokiem naszego cesarza? Czyż nie widzieliście tego ogromnego wojska, które cesarz nasz prowadzi? Wszakże tylko

co tędy przeszło! Jeśli wam życie miłe, umykajcie jak najrychlej!

Nie było wątpliwości, iż Bułuk mówi prawdę. Zbyt mało naszych było, aby mogli walczyć z całem wojskiem.

Wieczór już był późny i wszyscy znużeni pragnęli spoczynku. Janek pospieszył do matki.

Nakazano baczne czuwanie na murach i u bram miasta. Rozstawiono liczne straże, reszcie pozwolono udać się na spoczynek.

Pomęczeni wyprawą, usnęli żołnierze twardo.

O świcie obudził ich huk straszny.

Kto żył, śpieszył na wały. Żołnierze gromadzili się koło swoich dowódców. Janek był jednym z pierwszych. Stał obok Wasilkowskiego, czekając rozkazów. Serce biło mu gwałtownie.

U stóp Kamieńca roiły się tłumy Turków i Tatarów. Jedni bili z dział do twierdzy naszej, drudzy usiłowali wedrzeć się na górę, na której była zbudowana.

Patrząc na nich, zaciskał Janek silniej szablę w pięści, od czasu do czasu oglądając się na miasto, w stronę gdzie mieszkała matka. Wasilkowski, spostrzegłszy to, uścisnął dłoń Janka i szepnął mu:—nie lękaj się, nie wezmą nas Turcy, Bóg z nami!

Porwali się natychmiast do koni i popędzili przez otwartą bramę na dół. Z wałów zaczęto bić z dział w stronę Turków, a oddział Wołodyjowskiego jak piorun spadł na karki wrogów.

Uderzenie ze strony naszych było silne, ale opór Turków niemały. Padało wrogów wielu, ale też było ich dziesięć razy więcej niż naszych. Coraz nowe szeregi Turków występowały do boju, nasi ciągle ci sami, pomęczeni, lecz mężni, postanowili nie ustąpić, dopóki napadu nie odeprą.

Kilka godzin bito z dział z murów Kamieńca w szeregi tureckie i cały ten czas oddział pod wodzą Wołodyjowskiego ucierał się na stoku góry z naciskającymi wrogami.

Nie wypoczywano ani chwili. Konie zaczęły już ustawać, żołnierze dobywali ostatków sił i tak mocno napierali na Turków, jakby tylko co stanęli do boju.

I stał się cud prawie, cud zdziałany walecznością Polaków—bo oto Turcy, mając dziesięć razy liczniejsze wojsko od naszego, zaczęli się cofać, widząc zbyt wielu poległych po swej stronie. Cofali się zwolna, jakby namyślając się, lecz Wołodyjowski tak ich raz jeszcze silnie najechał, że musieli odwrót przyśpieszyć, niechcąc się pierwszego dnia na zbyt wielkie straty narażać.

Nasi, znużeni bojem, niektórzy ranni, wracali wesoło do Kamieńca: przekonali się, że nie taki Turek straszny, jak go opisują. Starzy żołnierze znali Turków już dobrze, lecz młodzi, którzy pierwszy raz szli w bój, lękali się zrazu trochę. Zwycięstwo dodało wszystkim otuchy.

Janek był wesoły i spieszył do matki, która w trwodze oczekiwała jego powrotu.

Pierwsza spostrzegła go Gieruszka i krzyknęła przerażona, ujrzawszy na twarzy brata krew. Nadbiegła matka i, chwytając Janka w objęcia, płakała z radości, że widzi go żywym. Dopiero Gieruszka wskazała matce twarz Janka, wołając:

— Ranny, Janku, tyś ranny!

Teraz i matka stroskana zaczęła oglądać kresę, która tak Gieruszkę przeraziła. Janek śmiał się z przestrachu siostry.

— Wstydź się, córka starego żołnierza i siostra żołnierza, a płaczesz i krzyczysz ze strachu, widząc, że mam

twarz draśniętą. Gdybym całe życie tylko takie odbierał rany! Nie płacz, nie płacz Gieruszko, bo mi wstyd takiej lękliwej siostry.

Istotnie, rana Janka była bardzo lekką i dlatego nawet nie obwiązywał jej. Widocznie dotknął go Turek odbitą szablą, bez siły i zamachu.

Później przyszedł na chwilę pan pułkownik; ucałował siostrę i matkę, a przed panią Ostaszewską pochwalił Janka. Janek skrył się w kąt, tak się wstydził słuchać pochwał i od czasu do czasu przerywał: „inni lepiej się bili; za spełnienie obowiązku nie należy się pochwała". Ale pułkownik nie zważał na to, wyciągnął Janka z kąta i ucałował go serdecznie.

— To obowiązek, mój Janku, lecz, widzisz, nie każdy go spełnia. Gdyby wszyscy tak myśleli, jak ty, i tak samo postępowali, za dwa dni pobilibyśmy Turków, bo mielibyśmy bodaj sto tysięcy wojska. Ale wielu jest takich, którzy wolą w domu siedzieć i dlatego tak mało nas jest. Każdy człowiek powinien spełniać swe obowiązki, nie żądając pochwały, lecz gdy nie każdy tak czyni, wtedy ta garść obrońców staje się godną pochwały.

Pani Ostaszewska nie mogła się nacieszyć, słysząc tak pochlebne słowa o synu.

Gieruszka, słuchając co pułkownik mówił, omal nie zaczęła tańczyć z radości. Taka dumna była, że Janek jest jej bratem.

IV.

Przez trzy dni był spokój w Kamieńcu. Nie widziano Turków, zbliżających się do miasta. Wiedziano tylko, że zakładają silny i obronny obóz w Żwańcu.

Dzień i noc pracowano nad naprawą wałów i tam na rzece, które woda wciąż psuła, grożąc zawaleniem najdogodniejszych do zastawy miejsc. Janek nie lenił się do pracy i pomagał nietylko rękami, lecz i radą, nieraz dobrą, bo sprytny był i mówił zawsze po dobrem zastanowieniu się.

Czwartego dnia, 15 sierpnia, w święto Wniebowzięcia Najświętszej Panny, około południa pojawiła się ogromna kupa Turków w bogatych strojach i doskonale uzbrojonych. Na czele jechał sam wielki wezyr t. j. najwyższy urzędnik u Turków, wódz naczelny i doradca sułtana.

W Kamieńcu myślano zrazu, że Turcy nowy szturm do twierdzy przypuszczą, lecz tak się nie stało. Wezyr obejrzał dokładnie położenie Kamieńca, przypatrzył się szańcom polskim i wybrał najdogodniejsze miejsce na obóz dla sułtana.

Mały oddział piechoty polskiej wyruszył z miasta i ucierał się trochę z Turkami, lecz nie uczynił im wielkiej szkody. Następnego dnia zjawili się Tatarzy w ogromnej liczbie, a obok nich stanęli kozacy, którym dowodził ataman Doroszeńko. Ten namawiał Polaków, aby się sułtanowi poddali, han tatarski to samo doradzał; ale nasi odprawili ich posłów z niczem, bo przysięgli, póki się da, bronić Kamieńca. Od dowódcy aż do szeregowca czuł każdy i rozumiał, iż lepiej zginąć z chwałą, niźli iść w łyka pogańskie.

Dnia 18 sierpnia ujrzano z murów Kamieńca ogromny ruch na dolinie..

Od samego rana ciągnął tabor olbrzymi z ładownymi wozami, z mułami kroczącymi zwolna pod bogatem brzemieniem; ciągnęły wojska bez końca i bez liku, w barwnych strojach i dziwnych uzbrojeniach różnego rodzaju i kształtu. Tak od świtu do nocy bezustanku wchodzili

do obozu, rozstawiali wojska i rozbijali namioty. A była tych namiotów moc taka, iż się nimi pola naokoło okryły i jak od śniegu zbielały.

Niektóre stały bogate i strojne, od jedwabiów i złota świecące, że nie można było na nie dość się napatrzeć i napodziwiać.

Aby spokojnie módz rozłożyć obóz, wysłali Turcy znaczny oddział janczarów pod same mury Kamieńca; ten nieustannie strzelał, nie pozwalając naszym zrobić z miasta wycieczki w celu przeszkodzenia rozkładającym obóz. Lecz nie uchroniło to Turków od strat, gdyż nasi tak trafnie z dział mierzyli, iż niejeden namiot w puch rozbili, a ludzi koło niego pracujących pozabijali.

Pomimo tych przeszkód obóz turecki był już 20 sierpnia gotów,—widziano zdaleka błyszczące od złota i drogich kamieni namioty sułtana oraz jego przybocznych wodzów i pomocników. Jak daleko sięgało oko, wszędzie widać było tureckie namioty i niezmierną ilość zbrojnych ludzi, którzy oczekiwali tylko hasła, aby się rzucić na Kamieniec i garść jego obrońców.

A jednak nasi nie tracili ducha i nadziei odparcia srogiego najazdu.

Sułtan wyprawił do Kamieńca posłów z listem, w którym pisał te słowa:

„Wojska mego moc ogromna, a liczba niezmierzona, jako piasku w morzu, liści na drzewach i gwiazd na niebie. Byłoby szaleństwem, gdybyście chcieli opierać się woli i potędze mojej. Wiedzcie, iż człowieka hardego nienawidzę, więc nie sprzeciwiając się woli mojej, poddajcie się. Jeśli będziecie stawiali opór, zginiecie wszyscy".

Gdy list ten przeczytano na radzie wojennej w Kamieńcu, zapanowała cisza; każdy bał się pierwszy odezwać.

Dopiero po chwili zaczęto się naradzać nad odpowiedzią. Napisano spokojnie, lecz z godnością, iż nikt nie chce sułtana gniewać, lecz też nie myśli o poddaniu Kamieńca, bo wszyscy przysięgli bronić go do ostatka.

Rozpoczął się bój krwawy, okropny, bez wytchnienia. Turcy podkopywali się pod mury Kamieńca, zakładali miny i wysadzali w powietrze. Nasi robili wycieczki, aby temu przeszkodzić, z dział bili celnie, od wałów i murów odpierali wdzierających się Turków.

Co dnia gwałtowniej szturmowali Turcy—co dnia zacieklej bronili się Polacy...

Lecz z każdą chwilą ubywało obrońców, a ci, którzy żywi zostali, słabli z natężenia i ciągłej walki przeciwko przeważającej potędze wrogów.

Niektórzy zaczęli tracić nadzieję zwycięstwa, lecz bohaterowie tacy, jak pułkownik Wołodyjowski, gromili ich z oburzeniem, pokrzepiali, zachęcali do dalszej walki.

A jednak trudno było nie zwątpić, widząc, jak z każdą godziną ubywało naszym sił, a mury, które ich zasłaniały, waliły się pod nieustannemi uderzeniami kul tureckich... Wyłomy z każdą chwilą stawały się większe i tylko dzięki nadludzkim wysiłkom udawało się obrońcom Kamieńca odpierać tłumy janczarów, cisnących się ze wszech stron.

Najdzielniejsi obrońcy twierdzy padali od kul tureckich, które sypały się jak grad, gęsto i bez przerwy prawie.

Lecz najstraszniejsze były podkopy i miny, grożące miastu i zamkowi lada chwila wysadzeniem w powietrze.

Kobiety i dzieci modliły się dzień i noc w kościołach. Starcy, którzy ledwo mogli się utrzymać na nogach, szli na wały, aby bodaj broń nabijać i w ten sposób pomagać obrońcom.

Coraz więcej liczono rannych i trupów, coraz się umniejszały szeregi walecznych, którzy gotowi byli życie oddać w obronie Rzeczypospolitej.

Mieszkańcy Kamieńca i większa część wojska, śmiertelnie znużeni, upadali na siłach i duchu. Prawie nikt już nie wierzył w możność odparcia wrogów. Rozpacz opanowywała wszystkich; padali bezsilni na wałach lub ulicach miasta, oczekując śmierci.

Wołodyjowski dokazywał cudów waleczności. Nie jadł, nie spał, nie żalił się, lecz bił się bez przerwy, słowem i przykładem zachęcając drugich, by tak samo czynili. Niestety, mało takich, jak on, było. Większej części brakło ducha i sił.

Ile razy Turcy silniej nacierali, a ze strony naszych słabł odpór, spoglądał Wołodyjowski na swoich wiernych towarzyszy i gromkim głosem wołał:

— Bóg z nami! Naprzód!

Zdawało się, że te słowa wlewają nadludzką siłę w polskich żołnierzy. Zapominali o zmęczeniu i odpierali wrogów z taką mocą, że ci na miejscu ustać nie mogli i musieli się cofać. Ranni i osłabieni zrywali się do boju, słysząc głos pułkownika, bo w głosie tym czuć było odwagę, męstwo i wiarę.

Janek, choć silny i zdrów, nieraz upadał ze zmęczenia; lecz trzeba tylko było, aby pan Wołodyjowski spojrzał na niego i zawołał: naprzód! —wnet Janek zaciskał mocniej szablę w ręku i rzucał się na kupę Turków, bijąc w prawo i w lewo.

Dzielnie sprawował się ten zuchowaty i mężny chłopak!

Pomimo to z każdą chwilą przerzedzały się szeregi, a niebezpieczeństwo rosło. Obrona Kamieńca stawała się coraz trudniejszą.

25 sierpnia, wieczorem, gdy atak ze strony Turków ustał, a polskie wojsko znużone, zmordowane śmiertelnie, padło na spoczynek, gdzie kto stał, Wołodyjowski z nielicznymi towarzyszami swoimi naradzał się nad wycieczką do okopów tureckich. Żołnierze odważni, jak on, zgodzili się chętnie, choć na straszne narażali się niebezpieczeństwo. W najbliższych okopach było przeszło dwa tysiące Turków, naszych zebrało się ledwie dwustu. Pomimo to postanowili napaść nieprzyjaciela, aby go tą odwagą przerazić.

Wymknęli się nasi na koniach cichaczem i dopiero, dobiegłszy okopów tureckich, rzucili się na wroga z niesłychaną gwałtownością.

Turcy, przerażeni i zdumieni taką szaloną odwagą, stali nieruchomo. Ledwo ci, na których nasi uderzyli, bronili się. Długo trwało, nim się ocknęli zupełnie i do obrony zabrali. A choć naszych było tak mało, kilka godzin trwał bój i Turków padła moc ogromna.

Dopiero gdy ze wszech stron naszych otaczać zaczęli, nakazał dowódca odwrót.

Janek bił się dzielnie, lecz przy końcu utarczki dostał tak mocne cięcie w lewą rękę, iż z osłabienia zachwiał się na koniu.

W sam czas spostrzegł to Wasilkowski i, podtrzymując Janka, pomógł mu dostać się do Kamieńca. Gdy go zaniesiono do domu, zemdlał wskutek upływu krwi.

Pani Ostaszewska zajęła się natychmiast opatrzeniem rany cicho, aby nie obudzić Gieruszki, obawiając się jej płaczu.

Odzyskawszy przytomność, uśmiechnął się Janek i, całując matkę w rękę, rzekł:

— To nic, mamo, to się zagoi rychło i wcale mię nie boli. Nasiekaliśmy Turków, jak kapusty!

Matka, choć łzy miała w oczach, uśmiechnęła się do syna; lecz zaniepokojona o jego ranę prosiła, aby leżał spokojnie.

— Ależ mateczko, to nic, to zupełnie nic nie boli; rano wstanę zdrów zupełnie i pójdę się bić. Muszę pójść, bo tam nas tak mało...

— Bądź spokojny, Janku kochany, i nie myśl o bitwie, tyś taki osłabiony....

— O nie, nie mateczko, ja jutro pójdę....

Ledwo go można było uprosić, żeby do rana leżał. Nie sprzeciwiano mu się, wiedząc, że rano pewno nie będzie miał tyle sił, aby się dźwignąć z łóżka. Wkońcu uspokoił się i usnął.

Rankiem 26 sierpnia obudził Janka grzmot dział i łoskot padających kul armatnich... Porwał się z łóżka, lecz w tejże samej chwili padł znowu. Był tak słaby, iż nawet usiąść nie mógł.

— O, że ja też nie mogę się nawet podnieść..., Tam się biją, Turcy wdzierają się do Kamieńca, a ja nie mogę bronić miasta...

Zakrywszy oczy zdrową ręką, leżał długo nieruchomy.

Huk armat nie ustawał. Kule padały gęsto, zarówno na zamek, jak i na samo miasto. Domy się trzęsły.

Janek dźwignął się w pościeli i powiódł dokoła przerażonym wzrokiem.

— Mamo,—zawołał—co się tam dzieje? Słyszę łoskot taki, jakby się domy zapadały.

Matka smutnie poruszyła głową.

— Sądny dzień,—wyszeptała.

— Boże, Boże!—jęknął Janek, opadając na poduszki.

Teraz Gieruszka nie odstępowała go ani na krok, pomagając matce w przygotowaniu bandaży i okładów, które lekarz kazał zmieniać.

W pokoju było cicho zupełnie. Nikt nie śmiał przemówić słowa, taka trwoga opanowała wszystkich.

Huk straszny wystrzałów działowych i łoskot walących się murów nie ustawał. Pani Ostaszewska powtarzała cicho modlitwy, a Janek z zamkniętemi oczyma leżał nieruchomie. Czasem tylko, gdy huk był bliższy i silniejszy, drgnął, lecz oczu nie otwierał.

Taki stan trwał kilka godzin...

Wreszcie, po południu 26 sierpnia, zrobiło się nagle cicho. Wystrzały, huk i łoskot ustały i zapanowała taka cisza, że słychać było brzęk much latających w pokoju.

Janek zerwał się z łóżka, jakby chciał biedz do drzwi. Matka i Gieruszka ledwo mogły go powstrzymać.

Zachwiał się i krzyknął:

— Boże! Kamieniec poddał się Turkom.

Dostał silnej gorączki. Matka i siostra, przerażone nagłą ciszą i stanem Janka, nie wiedziały, co począć.

Parę godzin upłynęło w niepewności.

Wreszcie usłyszano kroki męzkie. Przez otwarte okno zobaczyła Gieruszka pana Wołodyjowskiego. Wybiegła, aby go poprosić do Janka. Przyszedł po chwili z matką i siostrą.

Był cały krwią zbryzgany, poczerniony od dymu. Pomimo to nie trudno było spostrzedz bladość ogromną na jego twarzy. Oczy miał przymknięte, jakby senne, i stąpał, chwiejąc się.

Długo trwało milczenie; wreszcie Janek odezwał się cicho:

— Panie pułkowniku, jak się to stało?

— Wolałbym był zginąć, niż patrzeć na to nieszczęście—rzekł z westchnieniem Wołodyjowski. — Lecz cóż począć! widać taka wola Boska i poddać się jej trzeba.

Zamilkł na chwilę, potem, odetchnąwszy głęboko, zaczął opowiadać.

— Zamało nas było na taką siłę, z jaką nacierał na nas wróg stokroć liczniejszy. Ludzie nasi padali, mury rozsypywały się pod razami kul tureckich, a pomoc znikąd nie nadchodziła... Spodziewaliśmy się, że król zmiłuje się nad nami i przyszle bodaj parę tysięcy wojska na odsiecz. Słaliśmy posłów i jeńców tureckich, aby od nich król mógł się dowiedzieć, w jak okropnem jesteśmy położeniu. Ale nie wierzono nam i zostawiono na pastwę wrogów, tak, jakby tu chodziło o nasze życie tylko, a nie o losy całej Polski.

Przysięgliśmy wszyscy bronić Kamieńca do ostatniej kropli krwi i nie poddawać się. Ale nie wszyscy przysięgi dotrzymali. Pomęczeni, nie uzyskawszy pomocy, zaczęli myśleć o poddaniu się Turkom, spodziewając sią litości. Starałem się nie dopuścić do tego, lecz przemogli mię. Sam biskup pozwolił wywiesić białą chorągiew na znak poddania się. Poszedłem do księdza biskupa, aby się dowiedzieć, czy to prawda, że radzi poddać się, on, który przysięgę od nas odbierał i błogosławił nas do boju? „Uspokój się, rzekł biskup, wysłuchaj mnie i osądź, czy mogę inaczej postąpić. Przysięgliśmy i Bóg widzi, że nie myśleliśmy przysięgi złamać. Ufaliśmy siłom naszym i spodziewaliśmy się pomocy. Dziś widzimy wszyscy, że obronić się nie potrafimy. Lada godzina Turcy zdobędą Kamieniec. A co potem? Gdy wpadną do miasta jako zwycięzcy, z bronią w ręku, nie przebaczą nikomu, w niewolę zabiorą młodych, starców i dzieci pomordują, kościoły zbezczeszczą. Czyż ktokolwiek może tego pragnąć? Jeżeli zaś poddamy się dobrowolnie, Turcy będą musieli przyrzec nam wolność i poszanowanie kościołów. W ugodzie będziemy żądali wyraźnie, aby wszystkim wolno było

wyjść z miasta swobodnie, dokąd kto zechce, a tym, którzy zostaną, by żadna nie stała się krzywda. Czyż nie lepiej, że ty i drudzy wyjdziecie wolni i wkrótce może, złączywszy się z hetmanem, powrócicie, aby Turkom Kamieniec odebrać?"

Nie mogłem zaprzeczyć biskupowi. To, co mówił, było prawdą. A jednak wolałbym paść pod gruzami zamku, niż patrzeć, jak Turcy zajmą twierdzę naszą, tę bramę, która prowadzi w głąb kraju, nie mającego w tej chwili żadnej już obrony!

Zwiesił głowę na piersi i zamilkł.

Po chwili dodał:

— Posłowie nasi poszli do obozu tureckiego umawiać się o warunki poddania. Mają żądać wolnego wyjścia dla wszystkich, którzy wyjść zechcą.

Jeśli Turcy przystaną na to, najpóźniej jutro wyjdziemy. Tureckie panowanie ciężkie jest. Szczęśliwym będzie się czuł każdy, mogąc ujść jak najdalej. Zresztą niepodobna, by hetman nie myślał o odwecie. Pewno już zbiera wojsko, choćby je własnymi pieniędzmi miał opłacać, a niezawodnie zbierze, ile się da, i rozpocznie bój z wrogiem.

I paniom zostawać tu niebezpiecznie,—mówił dalej.— Turcy, choć przyrzekną szanować swobodę tych, którzy w Kamieńcu pozostaną, przyrzeczenia nie dotrzymają pewno. Za parę dni srodze zacięży ich ręka nad miastem.

— Lecz jakże Janka brać w drogę wobec rany ciężkiej i gorączki?

— Ułożycie go na wozie miękko wysłanym i będziecie jechali wolno. Lekarzy jest kilku, pomogą w drodze, gdy będzie potrzeba. Gdy dojedziecie do miejsca bezpiecznego, zostaniecie państwo w jakim dworze, dopókąd Janek nie wyzdrowieje.

Rady innej nie było. Zgodzono się na wyjazd z Kamieńca.

Pułkownik poszedł na zamek, aby gotować wojsko do rychłego wymarszu.

V.

Starszyzna kamieniecka, komendant i oficerowie zgromadzili się w kościele Franciszkanów, oczekując powrotu posłów, wysłanych dla zawarcia układu z Turkami. Wszyscy milczeli. Nikt nie miał odwagi odezwać się, taki smutek wszystkich przygniatał.

Czekano długo w niepokoju.

Wreszcie nadeszli posłowie.

Oczy zgromadzonych zwróciły się na nich. Poznano z ich twarzy, że nic dobrego nie przynoszą. Byli przygnębieni, bo czuli dotkliwie nieszczęście, które spadło na Rzeczpospolitę.

Ksiądz biskup zapytał o wynik układów.

Jeden z posłów odczytał list wezyra, w którym tenże pisał:

„Dla was wszystkich wolność, kościoły będą zachowane, ale nie wszystkie i nie te, jakie wy, lecz jakie sułtan wybierze. Na co wam tak wiele kościołów? W tych kilku dość chwały Bogu oddacie. Z fortecy będzie wam wolno wyjść, skoro zechcecie, z żonami, dziećmi i całym dobytkiem. Dwory wasze zostaną nietknięte, żaden janczar nogą w nich nie postoi, a któryby się ważył to uczynić, srogo karany będzie. O więcej nie proście, bo nie otrzymacie; dość, że z życiem wyjdziecie. Niegodniście nawet takiego zmiłowania, lecz cesarz przebacza wam mi-

łościwie. Pamiętajcie tylko, iż miecz na was gotów i przed wieczorem uderzy. Macie do wyboru: brońcie się, albo poddajcie"!

Po przeczytaniu tego listu zapanowała chwila ciszy w kościele. Wreszcie przemówił ksiądz biskup Lanckoroński:

— Panowie i bracia moi! Wiemy, iż na więcej ustępstw wezyr się nie zgodzi. Daje wam do wyboru: bronić się lub poddać, wiedząc, iż bronić się nie możemy. Obrona byłaby szaleństwem i żadnej korzyści krajowi by nie przyniosła, przeciwnie, zaszkodziłaby mu srodze. Bo oto zginęłaby i ta garść obrońców, która, da Bóg, wkrótce może w nowym boju będzie szczęśliwsza i zwycięstwo biednemu miastu przyniesie. Wiecie, że to, co mówię, prawdą jest. Widzicie sami, że nadziei zwycięstwa niema. Radźcie więc, co postanowić. Wezyr żąda rychłej odpowiedzi; gdy jej nie dostanie, grozi wieczorem zagładą nam i miastu.

Wielu milczało, pospuszczawszy głowy, inni chcieli jeszcze coś utargować od Turków; myśleli, że dadzą więcej wolności miastu i kościołom. Lecz gdy posłowie zaręczyli, iż wezyr nie odstąpi ani na włos od tego, co im napisał, zgodzili się wkońcu na przyjęcie warunków i poddanie się.

Zaraz spisano ugodę, obecni panowie podpisali ją i wyprawili z nią posłów do wezyra.

Wszyscy wyszli śpiesznie z kościoła. Każdemu było pilno przygotować się do podróży.

Wołodyjowski chmurny powrócił na zamek. Chciał przypilnować, aby wojsko było odziane, ile możności, przyzwoicie i dobrze było uzbrojone. Wszak w niedalekiej przyszłości miało znowu stanąć do boju.

Parę godzin trwało to zajęcie. Wreszcie wojsko stanęło w porządnym szyku. Wołodyjowski, otoczony kilkoma starszymi, czekał powrotu posłów z ostateczną wiadomością.

Obok Wołodyjowskiego stał major artylerji, stary i dzielny żołnierz Ketling. Kilkadziesiąt lat przeżył w Kamieńcu i pokochał jego mury i działa, z których nieraz raził nieprzyjaciół. Rodziny nie miał i nie bardzo przyjaźnił się z ludźmi. Armaty były jego najmilszem towarzystwem. Często, gdy był sam, przemawiał do nich, jakby one rozumiały jego słowa. Mawiał, że te działa, broniące Kamieńca, to rodzina jego.

Teraz stał nachmurzony i milczący. Niewiele mieszał się do rady i nie wiedział nawet, co właściwie postanowiono. Przeczuwał wszakże coś złego.

Nagle rozległy się wołania:

— Idą, idą!

Z góry, z wałów zamkowych spostrzeżono idących posłów polskich, otoczonych oddziałem janczarów. Posłowie odziani byli w kosztowne tureckie kaftany. Otrzymali je w darze, na znak łaski, od sułtana.

Na widok tych szat niewolniczych, choć bogatych, niejednemu ścisnęło się serce z bolu. Wiedziano już napewno, że Turcy przystają na poddanie się Kamieńca. Mówiono głośno o warunkach.

Ketling nastawił uszu i słuchał pilnie, co dokoła mówiono.

— Co! Kamieniec poddaje się? — zapytał jednego ze stojących bliżej.

— Tak jest.

— Jakto, przejdzie w ręce Turków? — zawołał. — Niedoczekanie ich!

Nikt wszakże tego nie słyszał, nikt nie spostrzegł, że Ketling i pan Wołodyjowski zniknęli nagle zpośród wojska.

Wszyscy przypatrywali się posłom, którzy właśnie wstępowali na most, wiodący przez rzekę z obozu tureckiego do Kamieńca. Zdawało się obrońcom, że każdy krok tych posłów zbliża nieszczęście, że w ślad za nimi idzie niewola, która ma shańbić kraj cały...

Cisza panowała ogromna, pomimo, iż pod zamkiem stało około pięciu tysięcy ludzi. Nawet koń żaden nie zarżał.

Nagle usłyszano huk straszny...

Białe obłoki zakryły zamek, skała, na której był zbudowany zadrżała, jakby się miała zapaść...

Na dole, prócz kłębów dymu nie widziano przez chwilę nic więcej. Trzask i łoskot trwał ciągle. Gdy dym opadł, ujrzano w powietrzu kamienie, działa, konie i ludzi tysiące....

To Ketling z Wołodyjowskim podpalili prochownię i wysadzili zamek w powietrze...

Okropne przerażenie zapanowało w mieście. Nie wiedziano zrazu, co się stało i kto był sprawcą wybuchu. Sądzono, że Turcy podpalili miny, o których mówiono, że miały zburzyć zamek i miasto.

Turcy, idący do Kamieńca z posłami, wstrzymali się i po chwili na rozkaz wezyra wrócili do obozu.

Gdy już kamienie przestały padać, pospieszyli ludzie z miasta do zamku.

Powstał straszny lament.

Z zamku pozostała tylko kupa gruzów...

Wołodyjowski nie żył. Najzacniejszy rycerz legł na posterunku, jak na bohatera przystało, jak tego sam pragnął.

Odnaleziono jego zwłoki zczerniałe, poszarpane. Ledwo go można było poznać.

Ludzie klękali przy zwłokach, płacząc głośno, bo nie było w Kamieńcu człowieka, któryby bohaterskiego pułkownika nie znał i nie czcił jego męztwa.

Nawet Turcy ze czcią patrzyli na śmiertelne szczątki największego swego wroga.

Wtem przez tłumy przedarł się młodzieniec blady, chwiejący się, i padł na kolana przy zwłokach pułkownika.

Daleko słychać było płacz Janka, który całował ręce nieboszczyka i łkał bezustanku.

Wszyscy patrzyli z współczuciem na biedaka, który tak gorzko opłakiwał stratę swego wodza i mistrza.

Wreszcie sił mu zabrakło, zemdlał i padł obok zwłok.

W tej chwili nadbiegła pani Ostaszewska z matką Wołodyjowskiego. Tłumy rozstąpiły się. Szeptano sobie: „Matka“...

Kilku przyjaciół zbliżyło się do płaczących kobiet. Ocucono Janka; zrobiono naprędce nosze i poniesiono wśród licznego orszaku zwłoki pułkownika i chorego, nieprzytomnego z bólu żołnierzyka, do domu.

W mieście, już i tak przygnębionem zwycięstwem Turków, zapanowała trwoga, trudna do opisania. Strach i niepewność, co się dalej stanie, zamknęły wszystkim usta — tylko płacz wydobywał się skargą z ust kobiet i dzieci.

Janek leżał bezprzytomny i milczący; obawiano się znacznego pogorszenia choroby po wysiłku i wzruszeniu, jakiego doznał na widok zwłok ukochanego wodza. Wobec niebezpieczeństwa grożącego Jankowi, zapomniano nawet o tem, co w tej chwili zagrażało wszystkim mieszkańcom Kamieńca.

Turcy rozsrożyli się strasznie. Starszyzna nasza musiała iść do obozu nieprzyjacielskiego, tłómacząc się z tego, co się stało. Ledwo udało się przebłagać gniew sułtana i wielkiego wezyra.

Wszystko to zajęło parę dni czasu. Dopiero we wtorek 30 sierpnia pozwolono mieszkańcom i wojsku opuścić Kamieniec.

W poniedziałek po południu Janek ocknął się i po raz pierwszy od śmierci Wołodyjowskiego przemówił.

Był zupełnie spokojny, gorączki nie czuł i prosił, by mu dano posiłek.

Matka i Gieruszka płakały z radości, widząc, że niebezpieczeństwo grożące Jankowi minęło.

— Kiedy nasi wychodzą z Kamieńca? — zapytał chory.

— Nie wiem sama — odpowiedziała matka — nie odstępowałam cię przez trzy dni i nie mogłam się dowiedzieć.

— Pewno nie dadzą nam tu długo zostawać; trzeba się przygotować do drogi—rzekł znowu Janek.

— Ależ ty taki chory, mój Janku—przerwała matka.

— O nie, mateczko, mam dość sił do wytrzymania podróży, byle tylko rychlej wyruszyć. Proszę się nie obawiać o mnie, znacznie mi już lepiej; nim dojedziemy do domu, będę zdrów zupełnie.....

W tej chwili odchyliły się drzwi i ukazała się postać starego żołnierza, którego Janek widział na murach miasta podczas najgęstszego ognia dział nieprzyjacielskich.

— Niechaj będzie pochwalony! — przemówił wchodzący.

— Na wieki wieków! — odpowiedzieli wszyscy troje.

Żołnierz, który wszedł do pokoju, był średniego wzrostu, krępy, z twarzą starą i poczerniałą od słońca i dymu bojowego, z ogromnymi wąsami, białymi jak śnieg, i krótko przystrzyżoną brodą. Na pierwszy rzut oka wydawał się pomimo niewielkiego wzrostu strasznym, taki surowy wyraz miała twarz jego. Ale gdy podniósł powieki i krzaczyste brwi, zobaczono oczy siwe, łagodne i tak poczciwie patrzące, że się aż weselej wszystkim zrobiło.

— Jak się masz, towarzyszu — przemówił żołnierz, ucałowawszy wpierw ręce pani Ostaszewskiej.

— Dobrze, zupełnie dobrze — odpowiedział Janek, uradowany wielce z odwiedzin, choć dotąd mało znał starego żołnierza.

— A, to Bogu niech będzie chwała! Wypocznij bracie jeszcze przez noc, bo rano ruszamy w świat.

— Jutro?—zawołała pani Ostaszewska z trwogą.

— Tak, dobrodziejko. Pora też najwyższa opuścić to nieszczęsne miejsce, gdzieśmy utracili tylu najdzielniejszych.....

Łzy zabłysły w poczciwych oczach starego wiarusa.

Janek uścisnął w milczeniu dłoń towarzysza i zwiesił smutnie głowę na piersi.

— Nie sumuj, kochanku — odezwał się stary — póki tchu w piersiach staje, niewolno wątpić, pamiętaj: nie wolno!

Mówił to z wielką mocą, a głos jego zdawał się wychodzić nie ze starej strudzonej życiem i bojami, lecz z młodzieńczej, pełnej nadziei, piersi.

— Do zamknięcia powiek powinniśmy wierzyć, iż nic się nie dzieje bez woli Bożej, a miłując Go, winniśmy wszystkie siły na Jego chwałę poświęcać. Nigdy nie wątp! Wypocznij dziś, a jutro rano wstawaj, bo wyruszymy

z Kamieńca. Ja tu do waś przyjdę i towarzyszyć wam całą drogę będę.

Pani Ostaszewska chciała mu dziękować, ale nie dał jej przyjść do słowa.

— Toć to obowiązek rodaka pomódz swoim w potrzebie. Zresztą nic nadzwyczajnego nie czynię. Jedną mamy drogę—więc razem pójdziemy. A przytem może i powinienem bardziej o was pamiętać, aniżeli inni, bom, kto wie, czy nie krewny. Nazywam się Ostaszewski, Walenty mi na imię, urodziłem się na Mazowszu, a choć was pierwszy raz widzę i nigdy o was nic nie słyszałem, to być może, żeśmy nawet bliscy sobie.

Nie czekając odpowiedzi, wyszedł z pokoju, zapewniwszy raz jeszcze, że jutro przyjdzie i przypilnuje, by wszystko do drogi upakowano jak należy.

W mieście było cicho, jakby wszyscy mieszkańcy oniemieli. Tureckie wojsko stało na ulicach spokojnie, lecz to wystarczało, by naszych wstrzymać od wychodzenia z domów. Ponieważ już poprzednio wszyscy, którzy mieli miasto opuścić, byli przygotowani do drogi, przeto teraz tem większa cisza panowała.

We wtorek od rana wszyscy oczekiwali chwili wyjścia z Kamieńca. Tureccy janczarowie stali nieruchomo w dwóch szeregach wzdłuż ulic, przez które miały przeciągać nasze wojska i tabory podróżnych. Około południa przybyli przewodnicy tureccy.

Tabor ruszył w milczeniu ku ruskiej bramie. Słychać było tylko płacz pozostających stałych mieszkańców Kamieńca.

Tabór naszych posuwał się powoli pomiędzy szeregami janczarów popod sam obóz turecki, skręcając ku wsi Jańczyńcom. U mostu, przez który przejść musiano, stali Turcy, którzy naszym mieli aż w głąb kraju towa-

rzyszyć. Muzyka ich hałaśliwie przygrywałą, jakby na urągowisko niedoli nieszczęśliwych obrońców Kamieńca.

Tuż przy taborze polskim szli janczarowie, dalej kupy innych wojsk tureckich, odbiegające czasem od taboru na parę mil w tą i ową stronę dla łupieży nieszczęśliwego kraju. Rabowali wszystko, czego dopadli; zboże i siano w stertach, których zabrać nie mogli, podpalali, osobliwie w nocy, przyświecając tym sposobem pochodowi.

Po kilkudniowej podróży stanął nasz tabor pod Stanisławowem.

Zdawało się, że okolica spokojna. Ani polskich wojsk, ani hord tureckich nie widziano. Konwój turecki cofnął się pospiesznie ku Kamieńcowi.

W serca naszych wstąpiła otucha.

Ujrzeli się znowu na swobodnej ziemi, każdy kierował się, kędy mu do domu było bliżej, aby co rychlej spocząć pod rodzinną strzechą. Silniejsi i zdolni do boju szli szukać hetmana Sobieskiego, pewni będąc, iż nie da im spoczywać w chwili, gdy Rzeczpospolita w tak ciężkiej znajduje się potrzebie, lecz wkrótce poprowadzi ich w bój.

Janek nie miał jeszcze sił tyle, by wsiąść na konia i ruszyć na nową wycieczkę. Pani Ostaszewska postanowiła więc corychlej dotrzeć do domu, ufając, że na drogach podgórskich uda się im bezpiecznie przemknąć, nawet choćby się w kraju włóczyły hordy tureckie i tatarskie. Pan Walenty towarzyszyć im miał aż pod ich rodzinną strzechę. Kilka osób, którym droga w tę samą wypadała stronę, przyłączyło się do małej gromadki.

Wysłuchawszy nabożnie mszy świętej w Stanisławowie, ruszyli nasi znajomi w podróż, ciesząc się nadzieją rychłego wypoczynku.

VI.

Wkrótce po wyjeździe rodziny, gdy złowrogie wieści o najściu Turków na ziemię naszą zaczęły dochodzić do kraju, niepokój opanował pana Ostaszewskiego. Choć jeszcze żadnej wiadomości od swoich nie dostał, spodziewał się, iż schronią się do Kamieńca, który, jak wielu w kraju, uważał za twierdzę nie do zdobycia. A jednak wzrastającego niepokoju pozbyć się nie mógł.

Zajmował się gospodarstwem, lecz, gdy go niepewność o los rodziny zbyt trwożyła, spieszył w sąsiedztwo, w nadziei, iż uda mu się od ludzi dowiedzieć czegoś pewniejszego.

Dostał nareszcie list z Kamieńca. Pocieszył go wszakże na krótko tylko. Coraz to groźniejsze opowiadano nowiny o sile tureckiej i niebezpieczeństwie, w jakiem się Kamieniec znajduje. Strwożony ogromnie, zdał gospodarstwo na włódarza i w drugiej połowie sierpnia pospieszył zasięgnąć pewniejszych wiadomości.

Wiedział, że nigdzie lepiej mu nie odpowiedzą, co się właściwie na kresach dzieje, jak u hetmana Sobieskiego. Dotrzeć do wodza nie było zbyt trudno. Dawał

przystęp każdemu, a tembardziej żołnierzom, którzy już pod jego wodzą służyli.

W drodze dowiedział się pan Ostaszewski, że hetman pojechał do Lwowa. Uczynił to na prośbę mieszkańców stolicy Rusi Czerwonej, strwożonych o losy państwa i własnego grodu.

Lwowianie widzieli już nadciągającą nawałę wrogów, którzy chętnie spieszyli do bogatego miasta. Sił obronnych Lwów miał mało, a o potędze Turków opowiadano, iż jest niezmierna.

Słał więc Lwów posłów do króla Michała, błagając o pomoc i wojsko na obronę zagrożonego miasta, ale król nie miał ani jednego żołnierza do rozporządzenia i sam nie wiedział, jak stawić opór wrogom na rubieży kraju. Zachęcał lwowian do obrony i wytrwałości, przyrzekając, że, jak tylko siły wojenne zbierze, na pomoc miastu przybędzie.

Udali się tedy lwowianie do hetmana, tego ojca Rusi Czerwonej i całej Rzeczypospolitej, który ani sił, ani grosza nigdy nie szczędził, gdy trzeba było odpierać wrogów.

Zjechał Jan Sobieski do Lwowa, aby uspokoić mieszkańców i, obejrzawszy siły obronne miasta, poradzić, co należy przedsiewziąć i pomódz, o ile by się dało.

Gdy Ostaszewski przybył do Lwowa, zastał wszystkich mieszkańców srodze zmartwionych, z powodu, iż hetman ciężko zachorował.

Nie myślano o własnem bezpieczeństwie, zapomniano o wszystkich cierpieniach, bo każdy troszczył się tylko zdrowiem hetmana Sobieskiego. W dzień i w nocy przed kamienicą hetmana w Rynku stały tłumy poczciwych mieszczan, spoglądających niespokojnie w okna i bramę, zapytujących każdego, który z kamienicy wychodził, czy

hetman zdrowszy. Modlono się po kościołach i ufano, że Panna Najświętsza dźwignie chorego hetmana, którego Rzeczpospolita teraz tak bardzo potrzebowała.

Jakoż w kilka dni później podawano sobie z ust do ust radosną wiadomość, że Sobieski zdrów jest—i przyjmuje właśnie starszyznę miejską, aby z nią wspólnie radzić nad obroną Lwowa.

Dodał wszystkim otuchy, rozgrzał swymi słowami serca poczciwych mieszczan, a choć sam na obronę kraju mało miał wojska, zostawił cztery chorągwie, liczące przeszło tysiąc ludzi dobrze uzbrojonych i do boju zaprawnych, pod wodzą doświadczonego żołnierza Eliasza Łąckiego.

— Dawnom ja już tę burzę przepowiedział — rzekł mieszczanom hetman — ale mię nie słuchali i o ratunku nie pomyśleli. Rzeczpospolitą do ostatniego przyprowadzili nieszczęścia. Dziś kraj stoi bezbronny i rozdarty wobec potęgi całego Wschodu. Toż i staję przed wami, jako wódz bez wojska; pomocy dać nie mogę, jeno chyba radę. Dziś jedno miasto może więcej uczynić, niźli cała Rzeczpospolita. Radźcie więc sami o waszych majątkach, ukryjcie je zawczasu przed łupieżcami. Płeć słabą i niedołężnych wyszlijcie gdzie w bezpieczne schronienie, bo z nich żadnego pożytku, jeno zawada. Silni i zdrowi niech się imają oręża i bronią murów Lwowa do ostatka. Da Bóg, tymczasem coś się uradzi i jeśli nie orężem, to przez posłów król odwróci nieszczęście od kraju i miasta.

Gdy mieszczanie wyszli od hetmana, zjawił się pan Ostaszewski.

— Witaj mi, panie bracie—rzekł dość wesoło hetman, który miał doskonałą pamięć i gdy raz z kim roz-

mawiał, z pewnością nie zapomniał go nigdy, a najczęściej pamiętał nietylko nazwisko, lecz i imię.

Ostaszewski pokłonił się wodzowi.

— Przychodzę do J. W. hetmana, jako do dobrotliwego naszego ojca i opiekuna, z prośbą o radę i pomoc w nieszczęściu.

— Źleś trafił, miły panie bracie—rzekł z uśmiechem Sobieski—bo oto ja sam znajduję się w położeniu, w którem sobie samemu, nietylko pomódz, ale nawet poradzić nie mogę.

— Wiemy to wszyscy, jak J. W. hetman kraj miłujesz i troszczysz się o jego losy i widzimy, iż trudno dziś o dobrą radę. Jednakże taka to już dola wielkich, godnych miłości i zaufania mężów, iż wszyscy się do nich cisną, kłopocząc ich swymi troskami i o pomoc błagając.

— I wszyscy im jako Waszmość pochlebiają?—z uśmiechem dobrotliwym przerwał hetman.

— Nie rzekłem ani jednego słowa, któreby nie było prawdziwem; jam stary żołnierz, służyłem pod buławą J. W. hetmana, więc jak do ojca z troską się udaję.

— Mówno, mów śmiało. Jeśli w mej mocy, pewno pomogę i porady nie poskąpię.

Pan Ostaszewski opowiedział, jaka dola spotkała jego żonę i dzieci i jak bardzo jest niespokojny o ich życie.

— Nie wiem, co teraz począć. W domu zostać nie mogę, bo grzechem by było siedzieć z założonemi rękami, gdy Rzeczpospolita w tak wielkiej znajduje się potrzebie. Toż postanowiłem, że będę się bił—ale gdzie stanąć do boju? Czy iść do Kamieńca, do swoich?

Hetman zamyślił się. Znać było na jego szlachetnem czole wielką troskę. Parę razy podkręcił wąsa, z pod którego usta nie uśmiechały się, jak pierwej.

— Rada trudna — odezwał się po chwili hetman. — Rozumiem, że serce ciągnie cię do Kamieńca, by tam bronić razem Rzeczpospolitej i najmilszej rodziny, ale kto wie, czy w tej chwili krocie Turków nie zalały już kresów, tak, że i źdźbło się nie przemknie? Skoro chciałeś mej rady, to ci ją powiem: oto zostań we Lwowie! Sam jeden w otwartem polu mógłbyś wpaść w ręce wrogów, a wtedy i Rzeczpospolita i rodzina straciłaby zacnego i dzielnego obrońcę. We Lwowie nie popróżnujesz. Lada dzień zacznie się tu srogi bój, a sił miasto ma mało i.... smutno wyznać, z każdą chwilą będzie ich mniej. Zostawiam tu garść żołnierzy, więcej ich nie mam, a mieszczanie nie wszyscy skorzy do wojennego rzemiosła. Bogaci już dziś uciekają ze swymi skarbami, jutro, gdy wyjadę, zaczną tłumnie opuszczać miasto, pozostawiając na obronę garść biednych. Zostań we Lwowie. Tu rada twoja, doświadczenie wojenne, ramię dzielne wiele pomódz mogą. Da Bóg, niedługo tu zostaniesz. Spodziewam się, że się nam uda zebrać ludzi i odeprzemy tę straszną nawałę wroga, która nam dziś grozi zagładą. Gdybyśmy szli na odsiecz Kamieńca, wziąłbym cię z sobą, ale obecnie jeszcze sił na to niema; zostań więc tutaj, a gdy ruszę na kresy, bądź pewnym, że nie zapomnę o tobie i twojej rodzinie.

Ostaszewski słuchał uważnie słów hetmana. Serce biło mu coraz silniej w piersi; słowa pełne miłości, a tak poważne, rada tak przyjacielska, jakby wychodziła nie z ust wodza, lecz brata, rozrzewniły stroskanego męża i ojca. Rzucił się do nóg hetmana i ściskając za kolana, rzekł wzruszony.

— Dzięki ci, nasz i Rzeczypospolitej ojcze, za te słowa zacne, które mię pokrzepiły. Będę posłuszny i spokojny o los moich. A gdy zpode Lwowa odeprzemy wro-

ga, pośpieszę do J.W. hetmana, aby pomagać w wypieraniu Turka za granicę. Bóg dobry, choć często nas doświadcza i karze za grzechy, nie dopuści, by te niewinne istoty zginęły od haniebnej pogańskiej ręki.

Sobieski podał Ostaszewskiemu rękę i rzekł:

— Oby się tacy ludzie, jak ty, rodzili na kamieniu. Gdyby więcej takich było, nie cierpiałaby Rzeczpospolita tak wiele i tak często. Dzięki ci bracie, żeś do mnie przyszedł. Chciałeś rady, a wsparłeś mię samego. Smutno mi było wobec bezsilności naszej. Aleśmy nie zginęli, póki żyją zacni żołnierze!

Pan Ostaszewski zawołał:

— Szczęśliwa Rzeczpospolita, która ma takich hetmanów, a daj Boże, byśmy się kiedyś mogli poszczycić takim królem!

Hetman uśmiechnął się dobrotliwie i, ściskając dłoń gościa, rzekł:

— Nie budź pochlebstwami dumy; Bogu i Rzeczypospolitej służę, za nich gotów jestem dziś i zawsze życie oddać.

Ostaszewski milczał, patrząc ze czcią na hetmana. W duchu wciąż sobie powtarzał: ten byłby dzielnym królem!

Po chwili pożegnał hetmana.

— Pójdź Waszmość do pana Eljasza Łąckiego i powiedz, że ja cię przysyłam. To żołnierz wytrawny, a człek zacny; będziesz w nim miał dobrego towarzysza broni i rzetelnego przyjaciela.

Poznajomiwszy się z Łąckim, przekonał się Ostaszewski, że hetman nie przechwalił go.

Był to żołnierz, jak mówią, z krwi i kości. Znał rzemiosło wojenne wybornie, a choć miał pod swem dowództwem ludzi mało, nie tracił nadziei, lecz krzątał się

pilnie około naprawy murów i wałów miejskich. Mieszkańcom dodawał otuchy, zachęcał do dzielnej obrony i upominał lękliwych, by porzucili obawy, a z wiarą w Boga, zaprawiali się do robienia orężem.

Niestety, mieszczanie nie bardzo wierzyli w możność obrony Lwowa, a osobliwie bogaci kupcy zlękli się o swe skarby i życie, więc też dniem i nocą wyjeżdżali z miasta, zostawiając je na obronę nielicznej garści zacnych obywateli.

Napomnienia nie skutkowały, prośby nie wzruszały tych samolubów—opuszczali Lwów, byle ocalić własne życie i majątki. Nawet radni miasta nie wstydzili się uciekać, choć obowiązkiem ich było bronić grodu i radzić mieszkańcom.

Pozostało ich niewielu. Pomiędzy nimi był sławny mieszczanin Bartłomiej Zimorowicz, rajca miejski, który, przeżywszy wiele, opisał później dzieje Lwowa pięknie i pouczająco. On to, jako najstarszy z radnych, zwołał zgromadzenie mieszczan do wielkiej sali ratuszowej i w te odezwał się do swych współbraci słowa:

— W smutnej was panowie i bracia zaprosiłem godzinie. Inni tu na tem miejscu być powinni, ale ich brakło. Dlatego niech przynajmniej pozostali, jako ziarno pszenicy po odwianych plewach na tem marsowem polu [1]) będąc, opuściwszy bojaźń, męztwo w sobie wzniecą, niech nie mężów zbiegłych, ale przodków od Lwa [2]) swego nieodrodnych mają przed oczyma. Lecz ani o losie Królestwa tak

---

[1]) **Marsowe pole znaczy pole bitwy; wyrażenie to pochodzi od nazwy Marsa bożka wojny u starożytnych Rzymian.**

[2]) **Założycielem miasta Lwowa był dzielny wojownik, książe Lew**

bardzo rozpaczać nie należy, aby przy życiu króla i obydwóch hetmanów, przy wojsku nigdzie nie pobitem, przy nie podbitem jeszcze królestwie miało swój kark dobrowolnie skłonić Ottomanowi [1]) hardemu i nigdy się na swoje nie wyniosło zemszczenie. Za krótką jest ta władza kawkowa pozwalająca przy śpiących orłach bezkarnie igrać, po ich zaś ocknieniu haniebnie uciekać. Wreszcie przy niedostatku posiłków ludzkich, nie będzie zbywać na boskich, to jest, doświadczywszy, że w latach upłynionych Lew zwycięzki z pokolenia Judy Lwowi swemu na pomoc pospieszył, że Matka gwiazd i obozów księżyce tureckie pod swe nogi strąciła, a zaś książe oręża Michał [2]) piorunami z niebios wojennemi zagrzmiał nad miast zdobywców głowami. Przy takich współwojennikach z nieba walczących, przodkowie swych nieprzyjaciół od bram odpędzali, [3]) zwyciężywszy napastników, pomniki zwycięskie stawiali. Miejmyż i teraz za rzecz pewną i nie wątpijmy, że ciż sami, którzy przedtem byli, istnieją niebiany. Podobnież na nasze przybędą wezwanie, gdy tylko my na obronę ich świątyń rąk przyłożymy. [4])

— Tylu już zbiegło, że za słabi jesteśmy do obrony—odezwał się jeden z obecnych.

---

[1]) Ottoman — turek.

[2]) Święty Michał, patron miasta Lwowa.

[3]) Mowa tu o kilkakrotnem cudownem ocaleniu Lwowa przez ukazanie się np. Św. Jana z Dukli, lub też przez nagłą burzę z piorunami, która wrogów pobiła i tak przestraszyła, iż coprędzej uciekali zpod murów miasta.

[4]) Cały ten ustęp jest w skróceniu przepisany ze starych kronik. Czytelnicy będą mogli z niego poznać, jak dawniej wykształceni ludzie mówili i pisali. Styl, czyli sposób pisania, jest pełen pięknych zwrotów i porównań, który każdy zrozumie, przeczytawszy uważnie.

— Inni jeszcze o ucieczce myślą.

— Wiemci ja o tem—rzekł znowu Zimorowicz—i nie chwalę tego, bo zgubną jest taka bojaźń obywatelów, przed daniem znaku do boju już z bojaźni drżących. Lecz to się już stało. Radźmy, aby jeszcze gorzej nie było. Obawiacie się zbiegostwa, więc radzę, aby wszyscy tu pozostali do tej pory złożyli przysięgę, że miasta nie opuszczą, choćby im przyszło głową nałożyć. Ja pierwszy tę przysięgę składam. Tak mi Panie Boże dopomóż!

Duch wstąpił w zgromadzonych. Wszyscy cisnęli się do krzyża i przysięgę składali. Łącki wraz z żołnierzami przysięgę wykonał, iż wytrwają przy sztandarach do ostatniej godziny.

Potem zaczęli się rozpytywać, czy wróg daleko i ile go jest.

— Przez gońców mam wiadomość—rzekł Łącki—iż samych Turków jest czterdzieści tysięcy, a między nimi dziesięć tysięcy srogich Janczarów. Tatarów liczą na sto tysięcy, a Doroszeńko wiedzie kupę mieszaną około dziesięciu tysięcy.

— Jakżeż my wytrzymamy taką moc ogromną?

— Mamy piersi kamienne — rzekł Zimorowicz,— nie łatwo je przebije turecka kula.

— Trzeba mury doreszty naprawić, wały podnieść i amunicję przygotować. Jest jej dość—mówił Łącki.

— Nas garść tylko w porównaniu z turecką siłą.

— Przybierzemy trochę ochotników do straży. Włóczy się tu kupa przedmieszczan i chłopstwa. Za żołd i strawę będą służyli. Zresztą, komu sił starczy stanie do obrony.

— Przysięgliśmy.

— Grosza nam brak na żołd, musimy zrobić ofiarę— odezwał się Zimorowicz. Sam z kalety wyjął pieniądze i na stole położył.

— Rozrachujcie, ile będzie potrzeba nałożyć na głowę, damy choćby ostatnie.

— Bóg nas nie opuści — rzekł cicho Zimorowicz,— gdy tak będziemy postępowali.

Czuć było w głosie jego wzruszenie. Przeżył już niejedną niedolę, ale ta była najcięższą. W murach Lwowa zamknięta garść ludności miała ocalić całą może Rzeczpospolitę!

Rozeszli się mieszczanie do domów, dumając nad nieszczęściem kraju i miasta. Kobiety modliły się o miłosierdzie Boże. Wiara krzepiła wszystkich.

Kilka dni upłynęło wśród pracy. Wzmacniano okopy, zbrojono nowozaciężnych. Zbiegów z okolicy przybywało, a z nimi strach coraz większy. Nocami widziano dalekie, blade łuny.

Trzeba było zachwycić języka. Komendant wysłał na zwiady ową konnicę, którą mu hetman zostawił. Posiłkował jej oddział milicji miejskiej pod wodzą setnika Fryderyka Mogelina.

Poszli nocą ciemną, a Mogelin, żołnierz niedzisiejszy posuwał się szybko naprzód. Widział łuny coraz bliższe. Pchnął konnicę dalej, nie mogąc się zbyt poruszać z pieszymi. Musiał sobie zapewnić odwrót.

Ciemno było, że oko wykol, milicja stała milcząca. Mogelin nadsłuchiwał tententu koni. Mijała godzina za godziną. Konnica gdzieś przepadła.

— Hm,—mruczał setnik,—kiedy oni wrócą? Niedługo zacznie świtać!

Czekał dalej, spokojnie napozór, ale od czasu do czasu targnął wąsa. Kury piały na świtanie.

— Ładne wojsko, — rzekł Mogelin — przepadło, jak kamień w wodzie. Złapią ich wszystkich Tatarzy.

— Ej, mnie się zdaje, że oni wcale Tatarów nie szukają—odezwał się jeden z dziesiętników.

— Gdzieżby byli?—zapytał niespokojnie Mogelin.

— Uciekli!

— Ah!

Nie mówił nic więcej. Targnął wąsy, mruczał coś pod nosem i struchlał.

Brzask świtu zajaśniał.

— Czas do domu, wracajmy; pfu, z takiem wojskiem!— Splunął, zawrócił swoich i w czas jeszcze stanął w murach miasta. Kiedy go Łącki zapytał o konnicę, machnął ręką i nie rzekł ani słowa.

Jeszcze dzień jeden upłynął, gdy z wałów spostrzeżono pierwszych Tatarów. Kupy ich włóczyły się dokoła miasta, jakby na wywiady, co też tam robią i z jaką siłą przyjdzie Turczynom walczyć.

Chwila stanowcza nadeszła. Trzeba się było ostatecznie przygotować na oblężenie, może bardzo długie.

Poza murami miasta rozciągały się przedmieścia zabudowane gęsto dworkami. Wielu mieszczan kupowało tam grunta, zakładało ogrody, wśród których bieliły się dworki. Tam szukano wypoczynku w lecie, tam używano świeżego powietrza i miłego chłodu w cieniu drzew, gdy nadeszły dnie skwarne.

Komendant, poradziwszy się wpierw starszych obywateli, kazał wszystkie przedmieścia spalić, aby nieprzyjaciel nie miał bezpiecznego schronienia poza ścianami dworków przed strzałami działowemi. Kupy Tatarów wysuwały się naprzód, zajmowały wzgórza, okalające Lwów. Dnia następnego, a było to 24 września, pokazały się na

wzgórzu koło kościoła Marji Magdaleny chorągwie z krzyżami. To Wołosi na hańbę swoją posiłkowali niewiernych.

Rano 25 września pokazali się Turcy. Sunęły ich tłumy bez przerwy aż do samego wieczora. Zdawało się, że zaleją miasto swą potęgą. Posunęli się prawie pod wały miasta i natychmiast poczęli sypać okopy.

Nazajutrz ujrzano posła tureckiego, zbliżającego się do miasta z jakiemś pismem. Był to list Kapudana paszy.

Żądał poddania miasta, przedstawiając niepodobieństwo oparcia się potędze tureckiej. Ofiarował przyjaźń i pobłażanie, a właściwie niewolę.

Zwołano radę na ratusz i dano Turkom grzeczną odpowiedź, że miasto królewskie bez woli króla poddać się nie może. Za ofiarowaną przyjaźń gładkiemi podziękowano słowy.

Popłoch w mieście nie zmniejszał się wcale. Kobiety zalewały się łzami i modliły się ciągle. Młódź rwała się do boju, starzy zamyślali się poważnie. Nad wieczorem zwołano znowu radę. Trwała długo, bo do czwartej rano. W całem mieście nikt oka nie zmrużył, tylko najemni żołdacy chrapali obojętnie. Milicja nie opuszczała murów, Łącki czuwał ciągle, kawaler Maltański Mogelin działał za dziesięciu ze spokojem wytrawnego wojownika.

Dano znać, że poseł królewski Wieniawski jest w obozie Kapudana paszy. Otucha wstąpiła w mieszkańców, ale na krótko. Butny Turczyn żądał poddania miasta.

Wyprawiono posłów z chlebem pszennym i miodem. Kapudan nie przyjął darów, zgromił posłów i sromotnie z namiotu wypędził. Kluczów od bram miasta chciał, nie chleba!

Odezwały się pierwsze strzały zza szańców tureckich. Nasi nie pozostali im dłużni. Padały pociski ze

wszech stron. Szczupła załoga broniła się z całych sił, bezsilni płakali, starzy ufali w moc Boską.

W forcie Bernardyńskim dowodził Mogelin. Turcy rzucali się gwałtownie na ten silny posterunek.

Ku wieczorowi 28 września bój ustał, Turcy cofnęli się od murów miasta. Zdawało się, że do dnia następnego będzie spokój. Ten i ów położył się, by w odpoczynku nabrać nowych sił do walki. Ostaszewski z garścią starych żołnierzy został na posterunku—nie ufał wrogom, których chytrość znał dobrze.

Noc była ciemna, cisza dokoła, niektórzy żołnierze, siedząc na murach, zaczęli drzemać.

Ostaszewski już od kilku dni oka nie zmrużył. Stał wyprostowany, oparty na szabli, i wpatrywał się w ciemną przestrzeń, jakby w nadziei, że ujrzy swą rodzinę, o której doli ani na chwilę nie zapomniał.

Wtem.... zdawało mu się, że słyszy szelest jakiś. Nastawił uszu i słuchał z natężeniem. Szelest nie ustawał. Cicho podsunął się Ostaszewski ku gromadzie żołnierzy, kazał innych zbudzić, zostawił część na murach, z garścią poszedł na dół.

Tu usłyszał łoskot bosaków i łopat odkopujących ziemię.

Zrozumiał, co to znaczy. Turcy podsunęli się cichaczem pod mury, chcąc się pod nie podkopać, aby wejść ukradkiem do miasta.

Nie było chwili do stracenia. Nasi zabrali się do roboty. Za radą Ostaszewskiego wkrótce wykopano głęboki dół przy wewnętrznej stronie muru. Turcy, kopiąc po drugiej stronie, nic nie słyszeli i dalej podkopywali się spiesznie. Wtem z krzykiem rzucili się do ucieczki. Umykali bez ładu, jeden przez drugiego przeskakiwał, byle tylko ujść niebezpieczeństwa.

Cóż się stało?

Oto nasi, gdy wykopali już dość głęboką jamę naprzeciw podkopu tureckiego tak, że jednych od drugich oddzielała tylko cienka warstwa ziemi, rzucili się do pomp i jamę zaleli wodą, która natychmiast przerwała słabą przegrodę i spadła grubą strugą na kopiących Turków.

Umknęli napastnicy. Ten i ów sądził, że teraz przejdzie noc spokojnie, lecz Ostaszewski nie radził spoczywać. Obsadził silniej tę stronę muru, którą Turcy podkopali, i czuwał bacznie, spodziewając się nowego napadu.

Jakoż wkrótce usłyszano uderzenia młotów tureckich o mur. Niebezpieczeństwo było groźne. Ostaszewski posłał jednego z żołnierzy do komendanta z wieścią i żądał pomocy. Sam, z dzielnym dowódcą milicji miejskiej Mogelinem, na czele sześćdziesięciu żołnierzy wysunął się z miasta podziemnym, ukrytym chodnikiem i cicho zaszedł tył Turkom.

Wrogów, o ile można było poznać w ciemności, było co najmniej tysiąc. Jedni stali na straży, drudzy pospiesznie odkopywali ziemię i wyłamywali mur. Nasi poczekali jeszcze chwilę, licząc na to, że Łącki tymczasem zbierze siły i będzie im mógł z wałów dopomódz.

Tak było istotnie. Łącki podsunął się cicho z ludźmi w tę stronę murów, gdzie Turcy robili podkóp, i oczekiwał hasła z dołu. Garstka dzielna pod wodzą Ostaszewskiego i Mogelina rzuciła się niespodzianie na Turków, którzy w ciemności nie dostrzegli zbliżającego się niebezpieczeństwa.

Okropny powstał zamęt.

Turcy nie wiedzieli, jak licznego mają za sobą nieprzyjaciela, więc strach ich ogarnął. Bronili się wśród krzyków i nawoływań o pomoc. Naszych garstka biła zajadle. Jeden stawał przeciwko dziesięciu.

Z obozu tureckiego nadbiegł oddział na pomoc.

Wtedy zagrzmiały z góry działa.

Wśród ciemnej nocy błyskały z obu stron ognie u wylotów armat i gasły; gdy zabłysło, nasi z murów mierzyli do Turków z rusznic. Straszna walka zdawała się nie mieć końca. Turcy ustąpić nie chcieli, nasi, choć ich garść była tylko, bili się bez wytchnienia, nie czując ubytku sił. Nie zwykli ustępować nigdy, dziś tem mniej— była to bowiem wilja imienin króla Michała.

Działa grzmiały z wałów bez przerwy, sprawiając ogromne spustoszenia. Puszkarze osmoleni śmieli się przy każdym strzale, wołając:

— Za zdrowie króla Jegomości!

— Strzelaliśmy z dział zawsze w dzień królewskich imienin, ale nigdy tak pożytecznie—mówili.

Pomimo wielkiego męztwa naszych, Turków trudno było odpędzić. Co chwila przybywały im z obozu nowe posiłki.

Obrońcy miasta na wałach i murach zaczęli słabnąć, najemni żołdacy, mrukliwi, szli niechętnie w ogień pomimo zachęty komendanta, który wszędzie był, gdzie największe groziło niebezpieczeństwo. Ten i ów wypuszczał broń z ręki.

Wtem wśród walczących i upadających na duchu stanął Bartłomiej Zimorowicz i przemówił w te słowa:

— Dalej bracia, nie traćcie otuchy i wiary, Bóg z nami! Walczymy za dobrą sprawę i za wiarę świętą, Bóg i święci patronowie przybędą nam z pomocą, jak to już nieraz bywało.

Widok sędziwego męża w miejscu pełnem niebezpieczeństwa dodał obrońcom otuchy. Działa żywiej zagrały, ogień sypał się gęściej na wrogów cisnących się gwałtem na mury miasta.

Nagle.....

Huk, stokroć straszniejszy od grzmotu dział, rozległ się w powietrzu. Ziemia drgnęła raz, drugi i trzeci. Huk powtarzał się bez końca i przerwy. Towarzyszyły mu straszne błyskawice. Z niebios zdawał się sypać ogień na ziemię. Od błyskawic i piorunów zajaśniało dokoła.

Wicher szalony dopomógł burzy,—zrywał namioty tureckie i ciskał nimi jak pajęczyną, pioruny zapalały skrzynie z prochem. Pożar wybuchał co chwila to tu, to ówdzie, dopóki go deszcz ulewny nie zalał...

Na murach Lwowa walka ustała.

Wszyscy patrzyli na popłoch Turków, biegających bez ładu pomiędzy namiotami, przerażonych, bezradnych.

Wśród obrońców miasta stał o laskę oparty Zimorowicz... Wicher zerwał mu czapkę z głowy i rozrzucił jak srebro białe, długie włosy... Starzec nie czuł chłodu; patrzał przed siebie z rozjaśnionem obliczem. Usta jego poruszały się słowami modlitwy.

— Na kolana, dzieci! — zawołał. — Święty Michał, patron Rusi Czerwonej, miasta naszego i króla, ratuje gród nasz i kościoły nasze!

Wszyscy uklękli na zmoczonych deszczem i krwią murach i gorąco dziękowali Bogu za cudowną pomoc.

Wieść o tem, co się stało, rozbiegła się lotem błyskawicy po mieście. Uderzono we wszystkich kościołach we dzwony—lud szedł, pomimo nocnej pory, modlić się do Ojca Wszechmocnego...

Gdy dzień zaświtał, na ulicach miasta ludzie gwarno rozmawiali o wypadku, który w nocy ocalił Lwów. Cieszono się nad wyraz. We wszystkich kościołach odprawiano nabożeństwa dziękczynne, modlono się o pomyślność i długie lata spokojnego, szczęśliwego panowania dla króla Michała.

Starszyzna zebrała się w ratuszu na naradę. Wiedziano, że Turcy, choć zemknęli z placu boju, nie dali za wygranę i wkrótce sroższy jeszcze przypuszczą szturm do miasta.

Wśród obrad dano znać, że przybył poseł z obozu tureckiego. Wprowadzono go do sali, aby wysłuchać, czego żąda. Prosił o dwudniowe zawieszenie broni.

Naturalnie, że zgodzono się na to chętnie. Trzeba było ludziom wypocząć, a mury miasta naprawić, bo były w wielu miejscach bardzo nadwerężone.

Pomimo usilnej pracy, wiedziano, że w obec szczupłego wojska obrona Lwowa jest niepodobieństwem. Naprawiano mury i broń, przygotowywano amunicję, ale rozumieli wszyscy, że obrona nie potrwa długo.

Raz po raz zwoływano radę na ratusz, dla obmyślenia, co dalej czynić.

Na szczęście posłowie królewscy w obozie tureckim zdołali skłonić wrogów do ustąpienia z Polski za opłatą haraczu.

Turcy żądali 80,000 talarów, z czego na Lwów wypadło dziesięć tysięcy.

Nowy kłopot.

Miasto było ubogie; co było grosza wydano na najem i wyżywienie żołdaków płatnych. Bogaci mieszczanie umknęli przed oblężeniem ze swymi skarbami; pozostali byli biedni i, co mogli, już złożyli.

Proszono przez posłów, by Turcy przyjęli mniejszy okup, bo dziesięciu tysięcy zebrać nie było można.

Po długich targach zgodzili się Turcy przyjąć tymczasem 5,000; aż do czasu zapłacenia reszty, miasto miało dać zakładników.

Ciężki to warunek — ale przyjąć go musiano. Dnia 4 października, we czwartek, ruszyły tabory tureckie z pode Lwowa.

Kto żył w mieście spieszył na mury i wały, by się na własne oczy przekonać o odwrocie wrogów.

Zwinęli Turcy namioty i ruszyli na wschód.

Szły pułki za pułkami, hałaśliwe muzyki im przygrywały. Tatarzy włóczyli się dokoła miasta, jakby im żal było, że nie mogli rabować.

VII.

Pan Ostaszewski, pomodliwszy się w kościele katedralnym, poszedł do komendanta Łąckiego, chcąc się go poradzić, co ma z sobą czynić.

Łącki pomyślał i rzekł:

— Trudno to radzić, bo nie wiemy, gdzie się wasza rodzina teraz znajduje. Wnosząc z wieści, które mam od posła naszego, pewno dawno opuścili Kamieniec. Turcy wypuścili wszystkich, którzy nie mieszkali stale w mieście, i odprowadzili ich do Stanisławowa pod strażą, ztamtąd każdy poszedł, dokąd chciał. Niezawodnie i rodzina wasza podążyła do domu.

— Więc radzicie wracać pod własną strzechę? A jeśli ich tam nie znajdę?—pytał zafrasowany Ostaszewski.

— W takim razie najlepiej byłoby udać się do hetmana, który, jak słyszałem, zbiera ludzi, by po drodze uchodzących tatarów szarpać i odbijać zdobycz. Gdyby rodzina waści była w niewoli, kto wie, czy nie natrafilibyście na czambuł, w którym się znajduje.

Posmutniał Ostaszewski.

— Zrobię, jak radzicie—rzekł po chwili — skoczę do domu, a gdy go znajdę pustym, pospieszę do hetmana. Gdzieby go teraz można znaleźć?

— Sądzę, że będzie w Jaworowie.

— Tak, tak uczynię,—powtarzał Ostaszewski.

— Macie trochę grosza?—zapytał go nagle Łącki.

— Około stu dukatów znajdzie się jeszcze, resztę oddałem, jak wiecie, na okup.

— Wiecie co—mówił Łącki—zróbcie dobry uczynek. Turcy pod miastem sprzedają niewolników. Słyszałem, że tanio, bo nie chcą ich z sobą wlec. Otóż na intencję szczęśliwego odnalezienia rodziny wykupcie jednego niewolnika, starca jakiego, który będzie szczęśliwy, gdy nie wśród wrogów, lecz w święconym grobie spocznie.

— Z miłą chęcią—odparł Ostaszewski;—jeżeli starczy pieniędzy, wykupię dwóch.

— Więc chodźcie, pójdziemy razem.

Poszli za wały. Łącki wziął po drodze Ormianina znajomego, który umiał po turecku, mógł więc służyć za tłómacza.

Za wałami miejskimi, na odległość strzału armatniego, rozłożyli Turcy kramy z towarami zrabowanymi i ludźmi. Mnóstwo Lwowian kręciło się koło tego bazaru. Ten i ów coś kupił, inny tylko przypatrywał się.

— Pójdźno asan między Turków — rzekł Łącki do tłómacza—i wyszukaj jakiego starca polaka, któregobyśmy mogli wykupić z niewoli.

Po chwili nadbiegł jakiś tatarzyn, wlokąc za sobą na powrozie człowieka obdartego, krępego, z ogromnymi białymi wąsami, z twarzą poczerniałą od słońca i wychudłą od cierpień, a może i głodu.

Gdy stanęli przed Łąckim i Ostaszewskim, staruszek spojrzał na nich zpod krzaczystych brwi i słuchał, co mówią do Ormianina.

— Dajcie pokój, panowie bracia,—odezwał się.—Nie mielibyście co robić, to mnie kupować!

Zaśmiał się.

— Postanowiłem wykupić kogoś z niewoli, o ile mi pieniędzy starczy, a sądzę, że lepszy uczynek zrobię, gdy kupię starca, niż młodego, który łatwiej niewolę wytrzyma i doczeka się uwolnienia.

— Ha, jeżeli chcecie zrobić dobrodziejstwo, to muszę wam powiedzieć, że się nie dam sprzedać, chyba wtedy, gdy kupicie zarazem tych, z którymi mię ci rabusie pojmali.

Łącki nie mógł się wstrzymać od śmiechu.

— Nie brak ci widzę, panie bracie, fantazji, choć niewola tatarska to nie uczta — rzekł.— Ale radzę ci nie bronić się i pamiętać teraz o sobie. Mój towarzysz nie ma pieniędzy na wykupno całej gromady, więc korzystaj z okazji, a za chwilę będziesz wolny.

— A waści nie wstyd, że, mundur nosząc i szlachcicem będąc, mówisz takie rzeczy,—krzyknął jeniec.—Odkąd to nas mają uczyć, że milsza własna skóra, niźli przyjaciół naszych, krewnych, lub tylko bliźnich?

— Nie unoś się waszmość—przemówił pan Ostaszewski — pozwól pomówić z tatarzynem. Gdy pieniędzy starczy, wykupię was wszystkich, bom sobie zrobił wotum. Iluż was jest?

— Tamtych troje, a mnie, gdy pieniędzy wam braknie, zostawcie, nie zginę. A choćbym zginął, lżej mi będzie, gdy oni odzyskają wolność.

— Zacny jesteś, panie bracie, — rzekł Ostaszewski i ze wzruszeniem uścisnął dłoń jeńca.

— Posłuchajcie mej rady—dodał tenże—powiedzcie, żem nic nie wart, że chcielibyście widzieć innych jeńców, bo za mnie nie dacie ani grosza.

Usłuchano rady.

Ostaszewski oświadczył przez tłómacza, że tego jeńca nie chce, lecz może kupi innych, jeśli ich tatarzyn ma.

Bardzo się to poganinowi nie podobało.

— Mam—powiada — jeszcze troje, ale to niszczota, ledwo dyszą, nie kupicie.

Sądził, że Polacy kupują jeńców tak, jak turcy, do roboty, więc szukają silnych.

— Ha—zobaczymy.

— Nie —powiada tatar,— jeśli już chcecie kupić, to kupujcie wszystkich, ale nie oglądając.

— Chciałbyś nas oszukać—mówi do niego tłómacz.

— Dam tanio, bo mi w drogę pora, a z chorymi włóczyć się trudno. Kupcie wszystkich czworo, bez oglądania. Dam tanio—za ośmdziesiąt dukatów; zgódźcie się, zaraz ich przyprowadzę.

Nasi zaczęli się naradzać.

— Bardzo słabi być muszą,—rzekł Łącki—kiedy tatar ich nawet pokazać nie chce.

— Chodzą wieści, że pan hetman po drodze poodbija wszystkich jeńców,—rzekł jeniec—więc tatar radby byle co wziąć, aby kłopotu się pozbyć.

— O co idzie—rzekł Łącki do Ostaszewskiego:—gdy macie zrobić dobry uczynek, wszystko jedno, kogo wykupicie; potargujemy się.

Targ w targ, tatarzyn zgodził się za pięćdziesiąt dukatów oddać czterech jeńców.

Sędziwy jeniec wyciągnął rękę do Ostaszewskiego i uścisnął go serdecznie.

— Zacny uczynek spełniłeś, bracie—rzekł.

Za moje ocalenie nie dziękuję ci, bom stary i nie długo pożyję na świecie, choć co prawda milej mi dokończyć żywota wśród swoich, niźli wśród obcych i to wrogów, z którymi pięćdziesiąt lat wojowałem. Ale za tamtych, za ich ocalenie, niech ci Bóg szczęściem wynagrodzi. Jeśli masz rodzinę, zrozumiesz, coś uczynił.

— Także ci są mili ci, za którymi przemawiasz? — zapytał Ostaszewski.—Czy to krewni?

— Może, sam tego nie wiem. Noszą to samo nazwisko....

Tatarzyn bał się, by targu nie zerwano, i naglił o pieniądze.

— Słowo wasze mam; dajcież pieniądze, zaraz wam jeńców przywiodę.... Pilno mi w drogę, bo nas stąd wypędzają....

Pan Ostaszewski wyliczył pieniądze.

— Dajcie je mnie—rzekł jeniec—ja sam tu przyprowadzę moich towarzyszy. Muszę ich przygotować do szczęścia, które ich spotyka. Chorzy są wszyscy, zbiedzeni niewolą i rozpaczą.

— Idź, bracie,—rzekł Ostaszewski—oznajm im, że są wolni, my wracamy do miasta.

— Jakto, nie zaczekacie?

— Oszczędź mi podziękowań....

— Szlachetnyś.... lecz pozwól bym choć zapytał o nazwisko.

— Uwolń mię od tego. Ślubowałem ten uczynek....

Uścisnął dłoń starca i szybko odszedł z Łąckim.

Jeniec pospieszył do namiotu.

Po chwili ukazał się w towarzystwie trojga ludzi. Była to kobieta słusznego wzrostu, równy jej młodzieniec i dziewczynka... Wszyscy troje bladzi i widocznie schorowani. Szli wolno, jakby im sił brakło.

Starzec niemal tańczył z radości.

— Spieszcie, spieszcie—mówił,—aby co rychlej stracić z oczu ten nienawistny, wrogi nam obóz. Musimy zajść do miasta, tam wypoczniemy, weźmiemy wóz i dalej pod waszą strzechę!

— Gdzież nasz wybawca?—zapytała kobieta.

— Uciekł, nie chciał, by mu dziękować, ledwo mi rękę uścisnął. Chciałem dowiedzieć się nazwiska—nie powiedział. Mówił, że ślubował sobie wykupić jeńców, ilu będzie mógł.... Łzy miał w oczach. Przedtem rozmawiał spokojnie; przy ostatku coś widocznie sobie przypomniał i umknął.

— Musimy go w mieście odszukać—rzekł młodzian blady, opierający się na sękatym kiju.

— Ba, gdybyście mieli zdrowe nogi, dopędzilibyśmy go jeszcze—rzekł starzec, patrząc ku miastu. Oto jeden z tych trzech ludzi, którzy zdążają do wałów. Zwolnili teraz kroku....

Wszyscy spojrzeli w tę stronę.

Trzej mężczyźni, Ostaszewski, Łącki i Ormianin szli ku wałom, otaczającym miasto. Szli teraz dość leniwo. Łącki obejrzał się i zatrzymał. Po nim uczynił to samo Ostaszewski. Stali chwilę, patrząc na resztki tureckiego obozu i krzątających się Tatarów, którzy zwijali ostatnie namioty i ładowali resztki niesprzedanej zdobyczy. Tu i owdzie kręcili się pomiędzy nimi mieszczanie lwowscy.

Dziewczynka przysłoniła oczy dłonią. Chwilę wpatrywała się w stojących wdali mężczyzn.

Nagle krzyknęła:

— Ojciec, ojciec!

I jak strzała puściła się ku miastu...

Ostaszewski, który już się był odwracał, by iść dalej, zatrzymał się. Zoczył pędzącą dziewczynkę.

— To pewno jedna z ofiar, które ocaliłeś — rzekł Łącki.

Ostaszewski nic nie odpowiedział.

Przed chwilą spieszył, by ujść podziękowań, teraz coś go do miejsca przykuwało. Patrzał na biegnącą.

Była coraz bliżej...

Zaczerwienione od niespania i dymu działowego oczy Ostaszewskiego wpatrywały się w postać dziewczęcia. Łąckiego także zaciekawiła ta scena. Wtem Ostaszewski wstrząsł się cały i ledwo dosłyszalnym głosem wyrzekł.

— Boże, czyżby to być mogło?...

Spojrzał raz jeszcze i z płaczem rzucił się naprzeciw biegnącej:

— Gieruszka, Gieruszka!—wołał, a głos mu zamierał od wzruszenia.

Dobiegł do niej, gdy już prawie tchu w piersiach nie miała. Chwycił w ramiona i, cisnąc do bijącego serca, płakał jak dziecko, a potem biegł dalej ku żonie i Jankowi.

Gieruszka słowa przemówić nie mogła. Rączętami wychudłemi objęła szyję ojca, twarzyczkę swą do jego ogorzałej twarzy przycisnęła i zdawała się bez życia spoczywać w objęciach najdroższego ojca.

Za chwilę rodzina, tak długo rozłączona, była znowu razem.

Słowa powitania krzyżowały się. Mówili bez ładu, pytali, płakali i ściskali się.

— To zrządzenie!— mówił pan Walenty,— żebyś ty, bracie, wykupił z niewoli tatarskiej własną rodzinę i uciekał od podziękowań.... Moglibyśmy się byli jeszcze długo szukać.

Pan Ostaszewski padł na kolana i chwilę krótką modlił się, dziękując Bogu, za tak cudowne ocalenie rodziny.

Żona, dzieci i stary Walenty klęczeli obok niego.

Gdy nadszedł Łącki, rzucił mu się Ostaszewski na szyję.

— Tobie to ocalenie zawdzięczam! — zawołał.

Ostaszewski prowadził żonę, Łącki wziął Gieruszkę na ręce. Janek szedł z Walentym, który śpiewał z radości.

Dwa tygodnie zabawili we Lwowie.

Nie było końca opowiadaniom przygód.

Gdy rodzina Ostaszewskich puściła się z panem Walentym od Stanisławowa do domu, została napadniętą przez czambuł Tatarów i, pomimo obrony, wzięta do niewoli. Janek przy tem spotkaniu odniósł nową ranę, która go pozbawiła sił do reszty. Głód, dokuczanie, trwoga i niepewność wyniszczyły zdrowie i siły matki i Gieruszki.

Krótki wypoczynek i troskliwa opieka Łąckiego i lekarzy dźwignęły wkrótce wszystkich, a szczęście, że znowu są razem, pomagało do odzyskania sił i zdrowia.

Podziękowawszy za gościnę, zabrawszy pana Walentego z sobą, ruszyła cała rodzina do swej wioski.

Dojechali bez wypadku, szczęśliwi i zdrowi.

Gdy pewnego dnia, rozgospodarowawszy się, wszyscy razem zasiedli do stołu, wstał ojciec i wyszedł z pokoju. Po chwili powrócił, niosąc piękną szablę, wysadzaną na rękojeści drogimi kamieniami.

— Janku! — rzekł — tę szablę mam po dziadzie moim, który ją zdobył na Turkach. Ojciec i ja przechowywaliśmy ją, jako jedną z najdroższych pamiątek. Dziś tyś zasłużył, bym ci ją oddał.

Nie mając dość sił do odparcia wrogów, a chcąc kraj od nich uwolnić, musiał się król Michał zgodzić na podpisanie ugody z Turkami w Buczacu.

Ugoda ta była hańbą dla Polski, bo warunki dyktowali Turcy—ale na teraz innej rady nie było.

Wielki nasz bohater, Jan Sobieski, nie mógł usnąć spokojnie od czasu buczackiego traktatu. Przemyśliwał nad odwetem, nawoływał do zbrojnego rzucenia się na wrogów—aż wreszcie dokonał zamiaru.

Naród powstał, nie mogąc dłużej znosić myśli o buczackiej hańbie i o upadku Kamieńca.

Ze wszech stron gromadziło się wojsko, by pod wodzą hetmana pójść bić wroga odwiecznego, który tyle już klęsk zadał i nie dawał ni chwili spokoju.

Janek nie mógł w domu usiedzieć; spieszno mu było na wojaczkę, chciał walczyć pod wodzą sławnego hetmana.

Nikt go też w domu nie wstrzymywał. Rodzice pobłogosławili, siostra zawiesiła na szyję święty wizerunek Matki Boskiej. Nie płakała tym razem Gieruszka...

Poszedł w szeregi hetmana bohatera i wespół z tysiącami innych walczył na polach chocimskich.

W dzień św. Marcina, dnia 11 listopada r. 1673, odniósł Sobieski świetne zwycięstwo nad Turkami, zmazał haniebną pamięć ugody buczackiej, dał poznać wrogom, że zaczyna się epoka, w której księżyc będzie musiał się pochylić przed krzyżem.

W dniu tym pamiętnym w dziejach naszych hetman Sobieski zjednał sobie serca wszystkich rodaków.

Gdy wkrótce potem umarł król Michał, naród, pełen uwielbienia dla wodza bohatera, okrzyknął go królem.

Janek walczył dzielnie pod Chocimem i we wszystkich późniejszych wyprawach króla Jana III brał udział. Był pociechą rodziców i wszystkich, którzy go znali.

KONIEC.

BIBLIOTEKA PARAFIALNA W BNINIE
Katolickie Towarzystwo ... w Polskich
Wyższa Szkoła Pedagogiczna BIBLIOTEKA GŁÓWNA w Kielcach

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
189197

Biblioteka WSP Kielce
0099519